MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 29 (28 skonfiskowany). WARSZAWA, 7 LIPCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

ODRĘBNE ŚWIATY

Dzisiejszy układ stosunków politycznych w Polsce jest wypadkową tak różnorodnych sił, wynikiem tak skomplikowanego zespołu przeobrażeń dziejowych, że wyłuskanie i właściwe uchwycenie znaczenia rozgrywających się zdarzeń napotyka na rozliczne, niełatwe do pokonania przeszkody. Trudności pomnażają się jeszcze bardziej wskutek świadomie wytwarzanej plątaniny mętnych pojęć i fałszywie przedstawianych faktów, mającej na celu przesłonięcie przed opinją publiczną rzeczywistego, najgłębszego sensu politycznych przeciwieństw, jakie w chwili obecnej powodują rozdzielenie społeczeństwa polskiego na wzajemnie zwalczające się obozy. Tem więcej przeto nie należy zaniedbywać nadarzających się sposobności, by przez wyraźne wytyczanie zasadniczych kierunków ideowych, ochraniać przed popadaniem w błędy, na jakie zwłaszcza powierzchowni obserwatorowie polityki dnia bieżącego niejednokrotnie bywają narażeni.

W niedawnej rozprawie przed Trybunałem Stanu przeciwko b. ministrowi skarbu p. Czechowiczowi, jeden z trzech rzeczników oskarżenia, wybitny socjalista poseł Liebermann, nie ograniczył się, jak drugi oskarżyciel, poseł Pieracki, do argumentów wyłącznie prawniczych, ani też, jak trzeci oskarżyciel, poseł Wyrzykowski, do wywodów gospodarczo-skarbowych. Korzystając z przysługującego mu w tym wypadku przywileju przemawiania w imieniu Sejmu, jako całości, postanowił na swój sposób sformułować istotną treść i podstawowe przyczyny opozycji, jaką wśród szerokich rzesz społeczeństwa wywołuje t. zw. „system pomajowy". Możnaby pominąć tutaj zrozumiały u p. Liebermanna, rasowy czysto instynkt reklamy, nakazujący mu w ustępie przemówienia, poświęconym stosunkowi min. Piłsudskiego do Sejmu, wtrącić zdanko: „...na którego czele stoi ten sam Ignacy Daszyński, otoczony powszechną czcią (!) całego (!) narodu"; możnaby pominąć nawet ową bardzo wschodnią i bardzo niewolniczym duchem przepojoną teorję o „wielkich postaciach", nie mieszczących się jakoby „w ramach odpowiedzialności prawnej" — nie zależy tu bowiem bynajmniej na niezasłużenie ostrej krytyce wystąpień, w których wiele zagadnień ujętych zostało w sposób rozsądny, zręczny, niekiedy nawet odważny. Mowa i replika posła Liebermanna mają tym razem posłużyć jedynie jako materjał, mogący ułatwić zorjentowanie się w zasadniczych różnicach prądów ideowych, rozstrzygających o kierunkach dążeń politycznych i celach toczącej się walki.

W imię zwięzłości, wystarczy ograniczyć się do jednego tylko przykładu, mianowicie do ważnego i aktualnego dziś bardzo zagadnienia—t. zw. wolności słowa. Poseł Liebermann, uzasadniając przeciwstawianie się polityce min. Piłsudskiego, mówił: „Nie mogę pójść za nim, gdy ogłosił pierwszy dekret prasowy, który był policzkiem dla demokracji i nie będę mógł iść za nim, jak długo nie złoży broni, którą podniósł przeciw demokracji". Według posła Liebermanna, socjalisty, wolność słowa jest zasadą nienaruszalną, fundamentem demokratycznego ustroju państwa: o zwycięstwo demokracji walczy on przedewszystkiem, deklaruje, komu należy, iż gotów będzie zawsze „iść za nim", byle tylko „interesy demokracji" należycie były zabezpieczone.

Jak natomiast przedstawia się kwestja wolności słowa ze stanowiska ideologji narodowej? Żeby dać odpowiedź na to pytanie, najdogodniej będzie przedstawić rzecz w sposób ściśle teoretyczny, ogólny. Narodowy sposób myślenia uznaje w zupełności wszel-

kie ograniczenie swobody wypowiadania się jednostki, jeśli ograniczenie to służy do obrony trwałych interesów Narodu i jego cywilizacji. Jeżeli wszakże tamowanie wolności słowa staje się środkiem ukrywania błędnej polityki rządzących, a nawet ich zbrodni, jeżeli uniemożliwia ostrzeżenie opinji publicznej, usypianej optymistycznemi oświadczeniami sfer oficjalnych, przed grożącemi Państwu niebezpieczeństwami, naówczas staje się ono systemem nietylko niewłaściwym, lecz wręcz karygodnym. Jeżeli rządzący posługują się krępowaniem swobody słowa jako sposobem utrzymania się na stanowiskach kierowniczych, jeżeli w tym celu zatajają przed społeczeństwem swe niedołężne posunięcia polityczne i swe porażki, nie pozwalając zapobiegać w porę ich zgubnym skutkom — postępowanie takie nie wiele różni się właściwie od przestępstwa żołnierza, który oręża, otrzymanego na obronę Państwa przed nieprzyjacielem, używa dla załatwiania porachunków osobistych albo dla rabunku. Oczywiście, polityka narodowa musi dążyć do wytworzenia takich warunków ustrojowych, któreby — w możliwie największej mierze—utrudniały dopuszczanie się tego rodzaju nadużyć władzy. Nie o doktrynę „demokracji" tutaj chodzi, ale o uczciwy stosunek do Państwa, o normalny, zdrowy jego rozwój.

Jest tu jednak również i drugi wzgląd, z narodowego punktu widzenia wcale nie błahy. Nacjonalizm, jak wiadomo, daleki jest od bezwzględnego potępiania walki między poszczególnemi grupami ludzkiemi, pojmuje, że walczenie bywa niekiedy obowiązkiem, uznaje, że „bojowaniem jest żywot człowieczy". Ale właśnie dlatego nie pozwala on też traktować każdego nieprzyjaciela jako zbrodniarza, nakazuje odnosić się do niego bez nienawiści, okazywać mu należny szacunek. Zamiast obłudnej, w gruncie rzeczy nie obowiązującej do niczego frazeologji pacyfistycznej, rzuca hasło szlachetnego, rycerskiego stosunku do wroga, hasło istotnie czyniące ludzi lepszymi, wyrastające zawsze na podłożu wysokiej kultury etycznej, jak np. katolicki ideał średniowieczny „doskonałego rycerza". Jeżeli jednak nawet w potykaniu się z wrogiem zewnętrznym obowiązywać winny rycerskie nakazy honoru, to tem więcej chyba zachowywać je należy także w stosunku do własnych rodaków, w walkach między grupami politycznemi wewnątrz jednego narodu. Skoro tedy grupa rządząca posługuje się krępowaniem wolności słowa w tym celu, żeby bezkarnie obrzucać obelgami i oszczerstwami przeciwników politycznych, pozbawionych możności obrony — metodę taką uznać należy przedewszystkiem za niehonorową, obniżającą poziom moralny stosunków politycznych w danem społeczeństwie. Uniemożliwienie swobodnego wypowiedzenia się opozycji, z natury rzeczy wytwarzać musi pewne obowiązujące reguły postępowania także i dla obozu rządzącego. Właśnie dlatego, że w państwach o konstytucji monarchicznej krytyka monarchy słusznie bardzo podlega daleko posuniętym ograniczeniom, powstrzymuje się on od jakichkolwiek wystąpień w roli polemisty, nie przemawia w tonie namiętnym i obraźliwym, nie rzuca oskarżeń. I tutaj znowu zagadnienie „wolności słowa" zarysowuje się nie jako kwestja doktryny, ale lojalności i godności: chodzi o to, żeby ograniczenie swobody słowa przyczyniało się do wytwarzania wyższego, szlachetniejszego typu życia zbiorowego, żeby walkom politycznym nadawało formy bardziej rycerskie, nie zaś żeby ściągało je na niziny obyczaju barbarzyńskiego, pierwotnego.

Ten przydługi może wywód teoretyczny potrzebny był w tym celu, by na przykładzie pokazać zasadniczy charakter narodowego sposobu myślenia, jego własną, odrębną metodę ujmowania poszczególnych konkretnych zagadnień. Obóz narodowy — z istoty swej— walczy zawsze i przedewszystkiem o typ cywilizacji narodowej, o jej moralne oblicze, walczy w imię tysiącletniej tradycji Polski rycerskiej, zbudowanej na zasadach katolickich i rzymskich, słowem w imię owych dóbr właśnie, na które nawet w wystąpieniach w obronie praworządności (proces b. ministra Czechowicza) posłowi Liebermannowi niezręcznie jakoś byłoby zapewne się powoływać. I rzeczywiście, czy chodzi o zagadnienie roli Kościoła i religji rzymsko-katolickiej w życiu Polski, czy o kwestję oparcia ustroju państwa na zasadzie zwierzchnictwa Narodu, jako indywidualności dziejowej, nie zaś ogółu obywateli kraju; czy walka toczy się o właściwą postawę w polityce zagranicznej, czy o stosunek do żydów—we wszystkich sprawach podstawowych, najważniejszych obóz narodowy w Polsce reprezentuje świat dążeń, pojęć, ideałów, odróżniający go od wszystkich bez wyjątku żywiołów, które znajdują się poza nim. Charakterystyczny niezmiernie był pod tym względem np. jednolity całkiem front obozu „sanacyjnego" i socjalistycznej „opozycji", potępiających zgodnie stanowisko polskiej młodzieży akademickiej podczas niedawnych zajść we Lwowie.

Dla żywiołów niedość silnie związanych z narodem, dla wszelakich „wmieszkanych, ale nie urodzonych" Polaków, dla organizacyj międzynarodowych wreszcie, usiłujących jawnie czy tajnie wywierać wpływ na losy Państwa Polskiego, wygodny bardzo musiałby okazać się taki stan rzeczy, kiedy walki polityczne u nas toczyłyby się jedynie o kwestje „demokracji" czy „silnej władzy", „wolnego handlu" czy „etatyzmu" i t. p. Różnice poglądów uzgodnianoby wtedy w razie potrzeby — w lożach masońskich, opozycja nie czyniłaby zbyt wielkich przykrości partji rządowej, partja rządowa — opozycji. Jest jednakże przedmiot walki ważniejszy: przyszłość Narodu całego i jego cywilizacji i w imię tego ideału stacza i staczać będzie dalej bój obóz narodowy, niezależny od nikogo, a jeśli zachodzi potrzeba: wbrew wszystkim. W tem zadaniu nikt nie zechce i nie potrafi go wyręczyć. A ta walka jest ze wszystkich najdonioślejsza, ona jedna ma znaczenie historyczne i ona właśnie wyznacza w społeczeństwie polskiem granicę między dwoma zasadni-

czemi kierunkami politycznemi, dwoma odrębnemi światami. Kto tej linji granicznej nie dostrzega, kto złudzony chwilowemi zbieżnościami lub przeciwieństwami dążeń grup poszczególnych nie docenia jej decydującego znaczenia, ten wogóle nie rozumie najzupełniej ani dzisiejszego układu stosunków w Polsce, ani też nie zdaje sobie sprawy z kierunku drogi, po której dalszy rozwój wydarzeń politycznych bezwzględnie musi się potoczyć.

Jeżeli z jednej strony istnieje obóz pp. Liebermanna, Diamanda, Posnera, z drugiej zaś obóz pp. Gliewitza, Stieglitza i Wiślickiego — wówczas obóz narodowy w Polsce nie ma powodu zastanawiać się nad związywaniem się czy też wchodzeniem w sojusze z jednymi, albo drugimi. Ma on własne, większe zadanie dziejowe do spełnienia.

JAN REMBIELIŃSKI

NAPOLEON — MĄŻ STANU

ZNAKOMITY historyk, Ludwik Madelin (niedawno powołany do Akademji Francuskiej), autor licznych prac, tyczących się Wielkiej Rewolucji, drukuje w paru ostatnich zeszytach „*Revue des deux Mondes*“, piękną i ciekawą rozprawę o „Konsulacie Bonapartego“ („*Le consulat de Bonaparte*“).

W pracy tej mówi Madelin między innemi o rodzaju umysłu Napoleona i zajmuje się jego „ideologją“, zwłaszcza tem wszystkiem, co go charakteryzuje jako męża stanu.

Autor przedstawia Napoleona jako restauratora i rzecznika silnej władzy, której konieczność uznaje nie dlatego, by nagiąć świat cały do własnych widoków i zachcianek, lecz dlatego, że widzi w niej nieodzowny warunek ładu.

To poczucie ładu miał Bonaparte—powiada Madelin—we krwi, miał je w mózgu, a nawet w sercu. Jeszcze na stanowisku naczelnego wodza armji we Włoszech wyrażał się w ten sposób:

„Czułbym się dotkniętym w honorze swoim, gdyby tam, gdzie ja rozkazuję, mogło powstać ognisko zamętu“.

Umiłowanie ładu odnajduje się w istocie woli Napoleona, która dąży do zorganizowania i skodyfikowania wszystkiego, do zapewnienia instytucjom mocnych podstaw, do umieszczania ludzi na stanowiskach dla nich najodpowiedniejszych, a która nie lubi przerwania normalnego biegu rzeczy: „pragnę—mówił w 1800 r. do Roederer'a — żeby dziesięć lat mego urzędowania upłynęły bez potrzeby usunięcia jednego bodaj ministra, jednego generała, jednego radcy stanu“. Jeżeli był do tego zmuszony, to decydował się na to z trudem, dlatego, że uważał ciągłość za podstawowy warunek ładu, który winien być zachowywany we wszystkiem, nawet w pozorach. Stąd wielka waga, jaką przywiązuje do wyglądu zewnętrznego, który, podług niego, jest także ładem.

Dla Napoleona najgorszym bezładem, źródłem wszelkiego nieładu jest—niesprawiedliwość. Jego zdaniem, każdy powinien spełniać swój obowiązek i jeżeli go spełnia, ma być wynagrodzony, jeżeli mu uchybia, niech będzie ukarany. Charakterystyczne są postanowienia Napoleona w tej mierze, nawet w sprawach małego znaczenia. Oto np. donoszą, że jakiś podporucznik zeszedł ze swego posterunku, a któryś z ministrów na obronę winowajcy przytacza, że ma on „dwadzieścia lat i jest synem zasłużonego generała“. Na to Napoleon: „Ten oficer powinien stanąć przed komisją wojskową i ma być traktowany z całą surowością prawa: jest to podlec“.

Napoleon wynagradza i karze, nadewszystko jednak kontroluje i... depcze po piętach. O generałach w czasie kampanji tak mówi: „Niech nie pozostają w miastach; posterunkiem honorowym jest biwak“. Murat'a, który wyraził chęć widzenia się z żoną, skarcił temi słowy: „Żołnierz winien jest wierność żonie swojej, pragnąć wszakże widzieć się z nią powinien wówczas, gdy nic innego nie ma do roboty“!

Obowiązkowy i nieumęczony w pracy, wymagał wiele od innych. Do usypiających ze znużenia ministrów, tak kiedyś odezwał się młody konsul: „Nuże obywatele, ocknijcie się. Jest zaledwie druga godzina. Trzeba zarobić pieniądze, które daje nam Francja“. Mając na względzie tych, którzy szybko chcieli się wznosić po szczeblach karjery, pisał do Carnot'a: „We wszystkich zawodach sława znajduje się na końcu“. Dzięki tej nieumęczonej woli, naród cały został pociągnięty do wytężonej działalności, bez której kraj nie podniósłby się z ruiny.

Charakter Napoleona, zdaniem historyka, odpowiadał nadzwyczajnemu położeniu, w jakiem znalazła się Francja po rewolucji, nadto jednak ideje jego godzą się w zupełności z temi, jakie ujawniają się w aspiracjach kraju. Zaczerpnął je z własnej natury, z nauki historji, oraz z przeżyć rewolucyjnych. Niektórzy historycy twierdzili, że Napoleon kochał W. Rewolucję „pod jej postacią militarną, wojowniczą i rzymską“ (Vandal). Uznając słuszność tego poglądu Madelin dodaje: „pod jej postacią narodową“. Dyrektorjatowi, który po dokonanej rewolucji objął władzę, zarzuca Napoleon, że nie umiał wyzwolić się z kłótni partyjnych i odegrać wśród nich roli arbitra. „Rządzić na rzecz jednego stronnictwa, oświadcza, to stać się, wcześniej czy później, zależnym od niego. Nie wezmą mnie na to. Jestem narodowym“.

Napoleon kochał Francję. Jako żołnierz, utożsamił się z jej losem, jako generał jej armji, przemawiający nieraz w jej imieniu do narodów zwyciężonych i ludów wyzwolonych, utożsamił się z jej genjuszem, z jej przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. „Od Klodoweusza do Komitetu ocalenia publicznego— pisał — uważam się za solidarnego ze wszystkiem“. „Oczernianie rządów, które mnie poprzedziły, uważam jako chęć obrażenia mojej osoby. Wiem, iż dla niektórych ludzi stało się rzeczą modną wychwalać mnie, a zniesławiać Francję. Ci wszakże, co nie kochają Francji, nie kochają i mnie“.

Miłość Francji objawiała się nawet w sposób niezwykły — mianowicie: uwielbieniem zwyciężonych przeciwników. Wielbił Wandeę i nie krył się z tem. „Olbrzymy!—mówił o Wandejczykach—był! czas jakiś zwycięzcami tych, co zwyciężyli Europę“. Na „Pamiętnikach“ słynnego wodza Wandei, Larochejaquelain'a, robi entuzjastyczne uwagi: „Piękne, wspaniałe

Jest to bohater Ariosta"; do ministra Fouché pisze 1804 r., żeby pozostawił w spokoju wdowy po dwóch bohaterach Wandei, „mężowie ich bowiem będą mieli kartę w historji". Po zgnieceniu spisku rojalistycznego Napoleon powiedział: „Zwyciężyliśmy — wszystko zapomniane". Kłótnie i zatargi powinny ustać. Uważając się za wodza narodowego, nie mając osobistej nienawiści, uprzedzenia i braku zaufania do żadnej grupy, nie chce pozbawiać nikogo dobrodziejstw prawa i opieki rządu, nie chce, by za jego rządów jedni na drugich ciskali ekskomunikę.

Był Napoleon — podług Madelin'a — uosobieniem powagi i władzy, którą chciał mieć silną, reprezentowaną przez jednego w państwie, odpowiedzialnego i wolnego.

Uznawał współpracownictwo instytucyj, zachowanych po rewolucji, nieznosił wszakże ograniczeń i więzów, nakładanych przez nie na najwyższego przedstawiciela władzy. Gdy został cesarzem mówił: „To ja jestem wielkim trybunem", mniemał tak wszakże o sobie podczas Konsulatu. Uważał się za reprezentanta mas, za przedstawiciela ludu, nietylko dlatego, że wśród maluczkich cieszył się największą popularnością, lecz i dlatego, iż władza, jaką posiadł, nie miała za podstawę prawa dziedzicznego. Niezależności władzy swojej strzegł przed wpływami tej lub innej oligarchji. Najsilniejszą wzgardę żywił dla arystokracji finansowej, która powstała po rozgromie arystokracji urodzenia i opierała się na świeżo wzbogaconych, których „bogactwo jest dzisiaj owocem kradzieży i rabunku", jak się wyrażał. Dążył, jak wiadomo, do stworzenia nowej arystokracji, opartej na honorze, do której wprowadzał zasłużonych wojowników. I tej jednak nowej elicie nie pozwalał mieć przewagi w rządach państwa. „Nigdy rządy wojskowe — wyraził się kiedyś—nie zapuszczą korzeni we Francji, o ile, rzecz prosta, naród nie zostanie ogłupiony przez pięćdziesiąt lat ignorancji. Armja—to naród". Napoleon kochał żołnierza, ale nie żołdactwo rozpanoszone, nie „sołdateskę"; nadewszystko jednak miał odrazę do tych dowódców wojskowych, którzy, nie poprzestając na roli żołnierzy, mieli pretensje do roli kierowniczej w państwie. „Cnoty wojenne—mówił—nie wystarczają do nadawania komuś praw rządzenia". To samo wyrazi o wiele dobitniej przed Radą Stanu, oświadczając, iż uważa siebie za urzędnika cywilnego, ochraniającego państwo od wszelkiej ingerencji armji. „Dlatego, — mówił—że właściwością wojskowych, jest żądać wszystkiego despotycznie".

Starając się w ten sposób zabezpieczyć powagę władzy od wszelkich wpływów i zamachów, uważał ją Napoleon za warunek nieodzowny dokonania tego, co zamierzał urzeczywistnić wewnątrz i nazewnątrz kraju. Władza, podkreśla historyk, była dla niego środkiem, nie zaś celem: sądził, że oddana wyłącznie służbie dla kraju, przeznaczona — przy współdziałaniu wszystkich — do ustalenia w nim ładu, zgody, pracy i pokoju, władza ta znajdzie w tem swe usprawiedliwienie i spotka się z uznaniem ogółu.

Nieskończona jeszcze praca Madelin'a, na którą zwracamy uwagę licznych u nas miłośników epoki napoleońskiej, prostuje nie jeden fałszywy pogląd na „Boga Wojny", pozwala nam ocenić, bez uprzedzeń tych lub owych, wielkie, ale i pełne zdrowego sensu, idee Napoleona, któremi się kierował w trudnej sprawie rządzenia państwem, świeżo wydobytem z otchłani zamętu rewolucyjnego. Genjalność uzdolnień kojarzyła się u Napoleona ze zdrowym sensem, którym tak często gardzą rozmaici, współcześni zwłaszcza, genjusze...

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

DROGI I BEZDROŻA NOWEGO WYCHOWANIA I.

IDEA PRACY

Już głoszą zmierzch dawnej szkoły. Szkoły, do której wiodą ciężko kute wrota, odgradzające dziecko od domu, świata i życia. Szkoły, w której klasach, w długich, prostych rzędach ławek siedzą dzieci, wpatrzone z lękiem w twarz nauczyciela, starając się odgadnąć, na czyjem nazwisku spoczną jego oczy. Zapowiadają nam szkołę nową, szkołę twórczą, szkołę radosną, wyrastającą wprost i bezpośrednio z życia społeczeństwa i duszy dziecka.

Czemże są te prądy i hasła nowego wychowania? Co obiecują i do czego wzywają? Co pragną zburzyć i co stworzyć? Niełatwo na to odpowiedzieć, bo nie istnieje jakiś pełny i obowiązujący kodeks nowego wychowania. Jest ono prądem żywym a proces jego krystalizacji dopiero się rozpoczął. Postaramy się wszakże wydobyć z różnorodnych projektów, pomysłów i prób, pewne właściwości podstawowe, jakieś idee wspólne, charakteryzujące podstawę tych poszukiwań oraz wykazać ich związek z epoką współczesną.

Jedną z owych idej jest idea pracy. Hasła szkoły pracy zyskują wciąż na popularności. Oskarża się dawną szkołę, że udzielała wiadomości mechanicznie, zmuszając do przyswojeń pamięciowych, że nie kształciła sił umysłowych młodzieży, nie ćwiczyła ich w samodzielnem badaniu i zdobywaniu prawd. Trzeba więc teraz nauczanie oprzeć nie na biernej, ale na czynnej postawie ucznia. W tem pierwotnem sformułowaniu, jako zasada dydaktyczna, wniosła idea szkoły pracy wiele dobrego. Ale z czasem rozwój przekroczył właściwe jej granice. Poczęto zbyt jednostronnie głosić, iż tylko praca, a nie jej owoce, mają wartość kształcącą, poczęto też dlatego apoteozować heurezę, badania, poszukiwania, nie bacząc na wyniki, zaniedbując wiadomości i wiedzę. Było to pierwsze świadectwo, iż w idei pracy kryją się jakieś siły niebezpieczne. Ujawniły się one wreszcie jeszcze jaskrawiej, niż na polu dydaktycznem—w wychowaniu. Poczęto wyzyskiwać pracę dla wychowania charakteru—ale nie pracę moralną, lecz ręczną, fizyczną, gospodarczą. Powstało stąd hasło szkoły produkcyjnej.

Szkoła ma być—w myśl tych zasad — związana z pracą wytwórczą, z jakąś gałęzią gospodarczą, uczniowie produkować mają jakieś dobra materjalne, muszą być włączeni w proces życia społeczeństwa. Na gruncie tej pracy gospodarczej wyrasta, związane z nią, wykształcenie. Szkoła w ten sposób nie jest izolowaną komórką, a dzieci w niej przygotowują się nietylko do przyszłych zadań, lecz już biorą, w miarę sił, udział w tych pracach, które są treścią życia ich rodziców. Szkoła taka, będąca bezpośrednią emanacją życia, a właściwie jego procesów gospodarczych, wymaga zasadniczej przebudowy ustroju społecznego, czego się też jej zwolennicy domagają. Jest to zresztą kraina marzeń, ta szkoła będąca jednostką wychowawczą i gospodarczą zarazem, posiadająca obszar ziemi lub warsztaty, będące wspólną własnością rodziców i nauczycieli, terenem pracy dla wszystkich, a jednocześnie środowiskiem nauki—dla młodych.

Idea pracy, jako podstawa wychowania, prowadzi do konsekwencyj niepokojących. Aby bliżej określić te bezdroża i wskazać na ich przyczynę, sprobujemy określić dzisiejszą zawartość pojęcia pracy.

Pojęcie pracy w swych szerokich rozgałęzieniach obejmuje niemal całą kulturę dzisiejszą, związaną, jak może żadna dotąd, z pojęciem pracy. Lecz jakaż to praca? Cechą jej swoistą jest przedewszystkiem to, iż zerwano wszelkie związki z uzasadnieniami religijnemi, które w średniowieczu a potem w kalwinizmie łączyły pracę z metafizycznemi przeznaczeniami człowieka. Drugą cechą pracy współczesnej jest jej charakter zawodowy. Przestaje być pracą—w opinji społecznej—taka działalność, która nie może być wyczerpująco określona pojęciem zawodu. Staje się próżniactwem i pasorzytowaniem. Może dlatego, aby się przed takiemi oskarżeniami ustrzec, organizują np. literaci związki zawodowe, które zresztą potem tyle im sprawiają trudności. Świeckość i zawodowość pojęcia pracy sprawia, iż teren jej działania zacieśnia się do owocności praktycznej, naocznej, utylitarnej. Nie jest przecież pracą działalność, której polem jest psychika, a zadaniem realizacja duchowych wartości. I to wyraźnie jednostronne dzisiejsze pojęcie pracy dominuje nad nami w każdej dziedzinie życia. Nawet nauka i filozofja przed wpływem tym się nie ostały, jak świadczy pragmatyzm, określający prawdę pojęciami pracy, energji i skuteczności. Istnieją też próby uznania tak rozumianej pracy za obowiązek moralny, mimo iż w tych usiłowaniach napotyka się na nieprzezwyciężone trudności. Jakże bowiem z bezinteresownością, właściwą wypełnianiu norm moralnych, pogodzić zapłatę, właściwą pracy dzisiejszej? W średniowieczu głoszono, że praca jest obowiązkiem moralnym, ale też wówczas nie uważano jej za źródło zysku. I to było konsekwentne.

Pojęcie pracy zyskuje dzisiaj, obok omówionych, inne jeszcze elementy, płynące z tego, iż dawną pracę jednostkową, ręczną, zastąpiono techniczną i zbiorową. Zniknął więc intymny stosunek twórcy do dzieła, a wytwór pracy wydaje się obcym wszystkim, którzy brali cząstkowy udział w procesie wytwórczym. Im większa podzielność pracy, im lepsza jej organizacja i udoskonalenie techniczne—tem mniej widoczny staje się udział jednostki w dziele tworzonem. Powstaje stąd odczucie irracjonalności pracy jednostki: oto trud jej nie przynosi widocznych i własnych owoców, będąc tylko drobnem przyczynieniem się. Nagrodą trudu i wysiłku przestaje być—jak dla artysty i rękodzielnika—dzieło stworzone (a pośrednio dopiero zapłata) staje się nią wprost i jedynie pieniądz, który się za rzecz zrobioną otrzymuje. Nie można już dziś ująć pracy w kategorje twórczości — trzeba ją ujmować w kategorje produkcji.

Wymaga tego zresztą i jej gospodarcza organizacja: kapitalizm, opierający się na zasadzie wzrastającej wciąż produkcji, kierowanej racjonalną kalkulacją. W ten sposób praca coraz wyraźniej nastawiona zostaje na produkcyjność, której cele określa wyłącznie rentowność. W istocie swej myślenie kapitalistyczno-techniczne odwraca uwagę od celów—ogniskując ją na zagadnieniu: w jaki sposób najekonomiczniej osiągnąć zamierzone wyniki. O wartości tych zamierzeń nie orzeka się niczego. Słusznie też powiedziano, iż jesteśmy epoką, która nie zna żadnego celu, ale która zna wszelkie środki i sposoby.

Zdobycze techniczne i ich naoczna doniosłość wytwarzają też nową koncepcję człowieka. Wielkością jego jest opanowywanie świata. Tendencja ta przejawia się nietylko na polu stosunku do przyrody. Imperjalizm i modny dziś konstruktywizm to siły pokrewne. Ale opanowywać świat—to nie znaczy opanowywać siebie. Raczej przeciwnie. Człowiek staje się coraz wyraźniej siłą zawodową i energją techniczną, a duszy jego potrzebna jest opieka po to tylko, aby działał sprawniej. I tak dzisiejsze pojęcie pracy odrywa człowieka od jego wewnętrznej rzeczywistości—przenosząc w świat zwnętrznej użyteczności, oraz odrywa go od świata metafizycznego, przekonywając, iż życie jest po to, aby je opanowywać i wyzyskiwać, a nie po to, by je kontemplować i wewnętrznie przetwarzać.

Charakterystyka powyższa ujawniła najwyraźniejsze rysy dzisiejszego pojęcia pracy, polegające na tem głównie, iż wartościową działalność człowieka ograniczono do działalności zawodowej, utylitarnej, świeckiej i technicznej, pozbawionej związku ze światem wewnętrznym oraz ze światem metafizycznym.

Rozumiemy teraz, w jaki sposób idea pracy w wychowaniu wiedzie na bezdroża. Ponieważ praca nie nadaje sensu i wartości życiu, ale jest funkcją innych jakichś wartości, dlatego też one właśnie rozstrzygają dopiero o jej znaczeniu. Współczesne zaś pojęcie pracy, jak wykazaliśmy wyżej, wiąże się z zespołem wartości doczesnych i utylitarnych, i jest dlatego zbyt wąskie, aby mogło kierować wychowaniem człowieka. Jak długo życie współczesne określać będzie w powyżej przedstawiony sposób pojęcie pracy, tak długo rola tego pojęcia w wychowaniu będzie bardzo ograniczona. Praca pojęta być musi jako działalność, której pierwotnem ogniskiem jest świat wewnętrznych przetworzeń. Taka praca stanie się sama treścią wychowania. Praca w dzisiejszem rozumieniu przynosić może dobre owoce dydaktyczne, może być dobrym środkiem i ćwiczeniem sił — nie jest zdolna wszakże wytworzyć atmosfery moralnej, bez której niema wychowania, ani też oznaczyć celów i wartości, bez których pełna osobowość człowieka i proces jej rozwoju istnieć nie mogą.

BOGDAN SUCHODOLSKI

W MĄCIE I W CHOMĄCIE

PONIEWAŻ rasa i kultura Polski stawiają znaczny, choć tymczasem tylko bierny, opór zakusom obozu lewicowego, więc przewódcy jego—Żydzi rzucili hasło „przerobienia psychiki polskiej". Hasło to, od dziesięciu lat jawnie głoszone, wcielają w życie za pomocą sztucznie tworzonej sztuki i literatury kryptożydowskiej, a twory jej rozpowszechniają i reklamują za pośrednictwem opanowanej przez się prasy lewicowej. „Robi w tym interesie" siedemdziesiąt siedem procent żydów, którzy udają Polaków, dziesięć procent żydłaków (mechesów) i trzynaście procent polskich grafomanów, lub szabesgojów.

Do tej swoistej armji zbawienia należy także pisarz „Robotnika", p. Karol Irzykowski. Wydał on niedawno spory tom z dziedziny teorji poezji („Walka o treść. Studja z literackiej teorji poznania. I. Zdobnictwo w poezji. II. Treść i forma". Warszawa 1929. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Str. X i 278). Samo przez się dzieło to nie nadaje się do szerszego studjum krytycznego, co w dalszym ciągu uwag moich wyraźnie się uwydatni. Ale jako objaw stanu umysłowego, w który pogrążył się lewicowy odłam piśmiennictwa polskiego, książka p. Irzykowskiego zasługuje na bliższe omówienie, wyłania się bowiem, niby sonda

probiercza, z głębszych, niż jej pokrewne, pokładów duszy ludzkiej. W tym charakterze biorę ją na warsztat szkicu niniejszego.

Już na wstępie autor w sposób naiwny ukazuje żydowską platformę, na którą pracę swoją ładuje. Uskarża się, mianowicie, na milczenie, jakie jego i innych „samotników myśli" otacza i pragnie dla nich jakiegoś niesamowitego jarmarku dyskusyjnego, nieustającego harmidru wzajemnej analizy twierdzeń, przypuszczeń i zaprzeczeń, jaknajwiększej ilości „dyskutantów". Jaki jest bezpośredni skutek podobnego targowiska umysłowego, o tem sam autor czytelnika poucza w dwóch okresach, które tu z jego wstępu przytaczam. Autor mówi:

„Na małej platformie, jednak obejmującej sporo lat, słabemi siłami, szczupłym zapasem lektury, zapragnąłem dać próbę takiej analizy, skupiającej dość duże koło dyskutantów. Zapragnąłem dać samotnikom zachęcające upomnienie, że niema myśli tak osamotnionej, do którejby kiedyś druga myśl nie dotarła, aby ją prześwietlić, wziąć z sobą lub odrzucić.

„Dla tej chimery zepsułem sobie zgóry prostolinijną architekturę wykładu, napełniłem książkę różnemi dygresjami, polemikami, informacjami. Zwłaszcza dla zadośćuczynienia zasadzie *„audiatur et altera pars"*, poświęciłem znaczną część książki i dopuszczałem przeciwnika do głosu jaknajczęściej, aby ostrożny czytelnik mógł ewentualnie stanąć po jego stronie".

Jak widzimy, autor sam w swoim wstępie podał dobrze uzasadnioną i tak druzgocącą krytykę własnego dzieła, że krytykowi obcemu pozostawił zaledwie pracę rozwinięcia i oświetlenia swojej oceny ujemnej. Istotnie, książka dla takiej „chimery" napisana, na tak „demokratycznych" zasadach oparta, w takim zgiełku wiecowym tworzona, zgóry skazana została na rolę kosza redakcyjnego, pełnego strzępów, przypadków i odpadków myślowych. Na 288 stronic dzieła nie wiem, czy dwadzieścia osiem dałoby się zapełnić własnemi, zresztą dorywczemi, autora myślami. Dziewięć dziesiątych książki roi się mnóstwem nazwisk różnych „dyskutantów" i chaotyczną siekanką ich poglądów. Wszystko to nieuporządkowane, nerwowo podejmowane i rzucane, trzeciorzędne szczegóły rozwlekane, rzeczy zasadnicze dowcipem zbywane. Koniec końców niewiadomo co, kto i dlaczego mówi, czemu autor na jedno się godzi, na drugie nie godzi. Słowem, bardzo nie-„zachęcające upomnienie samotnikom" myśli dane. Mąt, mąt i mąt.

Ze słów wstępu jasno widać, że autor świadom jest swego błędu podstawowego. Poco więc pustą pracę przedsięwziął? Na stronicy 74 woła nawet zniecierpliwiony: „dość mi już mądrowania na cudzych marginesach!", a mimo to w dalszym ciągu z książki swej robi wielki margines, na stu cudzych marginesach bazgrany. Ostatecznie czytelnik, bardziej od autora zniecierpliwiony, porzuca myślenie o tych paru tematach, którym jakoby poświęcone jest dzieło, a za przedmiot swoich rozważań bierze samego autora i jego pracę chybioną. Kim jest ten biedny męczennik marginesów? W jakim świecie żyje? Jakie otoczenie, jaka szkoła życiowa tak źle go wychowała? Pytania tembardziej zastanawiające, ile że z pod całego chaosu tego prześwieca tu i owdzie grunt dobrej rasy i uczciwego charakteru.

Niewątpliwie, na umyśle autora piętno swe wycisnęła przedewszystkiem ciężka, mglista, zawiła i czczą systematyzacją przeładowana niemiecka szkoła myślenia. Jest to typowa filozofja kupca korzennego. Jego magazyn podzielony jest porządnie na komnaty z nazwami ogólnemi, komnaty — na komory, każda komora na szeregi szaf, każda szafa—na szeregi półek, każda półka podzielona na zasieki, w każdym zasieku szeregi pudeł, w każdem pudle równa ilość mniejszych pudełek z etykietami, w każdem pudełku — mniejsze pudełka, a w tych — jeszcze mniejsze, aż w końcu w najmniejszem ma się ukrywać „rzecz sama w sobie". Otwieramy — a tam trochę zatęchłego powietrza i na dnie napis: *„Schlafe süss!"*... Pan Irzykowski nie ma, co prawda, czasu i nerwów na całość systemu a i miejsca mu brak, bo je demokratycznie udzielił „dużemu kołu dyskutantów", lecz z oderwanych powiedzeń i ze słownictwa jego bije mocno stęchlizna piwnic myślowych oficyny niemieckiej.

Rasowy Polak mógłby się jeszcze wysuszyć i przewietrzyć na słońcu kultury romańskiej i w polu ducha słowiańskiego, ale, niestety, autor prosto ze szkoły niemieckiej wpadł w życiową szkołę żydowską, mianowicie—socjalistyczną i tu na dożywotnie skazał się więzienie. Już sam pomysł urządzenia w książce „masówki", czyli wiecu tłumnego, cuchnie potem Nalewek. Wewnętrzny mąt niemiecki powiększony został do kwadratu przez zewnętrzny mąt żydowski. Z książki zrobił się wrzaskliwy beth-hamidrasz. Wiadomo, że żydzi wszystko robią zbiorowo. Ten rasowy plazmatyzm drażni wprawdzie autora, jak każdego Polaka. P. Irzykowski buntuje się przeciw temu, złości się, wierzga, lecz mimo to brnie posłusznie w narzuconym sobie mącie i chomącie.

W połączeniu ze słabym charakterem polskim, umysł niemczyzną zmącony z łatwością poddaje się żydowskiemu chomątu. Jak dokładnie dopasowano chomąto do karku autora, jak je ciasno ściągnięto, o tem jeszcze jaskrawiej świadczy lista literatów, których autor przytacza, nazywając ich „Polską Najmłodszą". Przykłady do swoich wywodów czerpie autor z następującej gromady pisarzów: Peiper, Lessman, Lechoń, Wat, Stern, Kaden, Boy, Feldman, Kleiner, Słonimski, Lack, Tuwim, Breiter, Mirandola (Pik), Pomper i t. p. Same żydy i paru półżydów. Do tego koła zamkniętego dopuszczani są nadto: Witkiewicz, Czyżewski, Rytard, Miller, Chwistek, Iwaszkiewicz—smutne resztki grafomanów, które już nawet w tem kole straciły dawne znaczenie. Pozatem, dla dekoracji, mimochodem lub w skromnym dopisku plącze się tu jeszcze kilka nazwisk polskich literatów o zdrowych zmysłach i rzetelnym talencie. Ale głównem polem doświadczalnem autora jest literatura kryptożydowska, którą on „Najmłodszą Polską" nazywa.

Tu czytelnik zupełnie traci zaufanie do autora. Wolno każdemu teoretykowi posługiwać się literaturą, jaka mu się podoba, ale naraża się na śmieszność, kto, zgromadziwszy kilkunastu Chińczyków, nazwie ich „Najmłodszą Francją". Jeżeli autora wprowadził w błąd język, a raczej żargon, którym ci Chińczycy piszą, to nieufność czytelnika jeszcze bardziej wzrasta, okazuje się bowiem, że autor nietylko w etnografji jest ciemny, ale nie zna się nawet na przedmiocie, którym z zawodu swego się zajmuje — t. j. na mowie ludzkiej. Często, obszernie i z dobrą miną (jeśli nie z dobrą wiarą) autor rozprawia o takich okazach językowych, które *a limine* odrzucić należy, jako pisane paskudną, nalewkowską polszczyzną. Ale chomąto mocno siedzi na karku pomimo bzykań, brykań i wierzgań krnąbrnego temperamentu, którego autor także pozbyć się nie może.

Muszę właśnie na dobro autora zapisać wszystkie jego, których w książce pełno, bzykania, brykania i wierzgania, przeciw własnemu jarzmu skierowane.

Warto niektóre z nich dla barwności obrazu przytoczyć dosłownie. Poezji najnowszej zarzuca „rozpustę metaforyczną". Z metafor p. Peipera drwi niemiłosiernie. O t. zw. „czystej formie" mówi: „Forma— to wegetarjaństwo: to namiastka w czasie głodu, to panowanie ludzi, którzy nic nie mają do powiedzenia". Albo: „Zwykłe chamstwo kryje się tu poza nowe wyznanie polityczne. Daje ono formułę zbawczą dla nowej mody, o której jakiś super-Stawar za parę lat udowodni, że jest burżuazyjną. Szantaż bez końca!" Poezji dzisiejszej (kryptożydowskiej) zarzuca „pasorzytnictwo". Futuryzm nazywa „ciekłym kawalizmem". O Witkiewiczu mówi, że pisze on „niechlujnie i niewybrednie" i w końcu widzi w nim „genjalną (może) grafomanję". Poetów-formistów nazywa „wierszęciarzami". Na innem miejscu mówi: „trywjalność nie ma prawa do wiersza i mnóstwo poezyj współczesnych o wiele lepiej by się zaprezentowało jako notatki prozą". I tak dalej.

Zdawałoby się, że tak nastrojony teoretyk poezji nie będzie teoretyzował na podstawie znalezin w takim śmietniku zbieranych, że pójdzie na łąki i bory poezji prawdziwej. Ale chomąto mocno siedzi na karku. Jak ślepy koń w kieracie, ma autor zakreślone zgóry koło literatury skamandrylnej, poza które kroku nie stąpi. Niewolę swoją pozoruje wprawdzie krytyką i walką, „walką o treść", ale, oprócz paru ogólnikowo wyrażonych twierdzeń, nie daje tej walce żadnych argumentów pozytywnych, nie rozwija swego frontu, nie pogłębia go, nie ma odwagi na atak do końca tam nawet, gdzie jego intuicja sama wskazuje mu kierunek i środki najpewniejsze. Zacietrzewiony w mnóstwie drobnych, nieszkodliwych dla przeciwnika utarczek, książkę niemi napełnił, a istotę sprawy całkiem z oczu stracił. Czytelnik otrzymuje wrażenie, że literatura omawiana jest, ostatecznie, w rozumieniu autora, zjawiskiem poważnem i że autor przyczepia się tylko do szczegółów, dla zadowolenia własnej junakerji wyławianych i czasem złośliwie uogólnianych.

Tu właśnie leży punkt ciężkości w stosunku do owej literatury. Autor niejednokrotnie w książce swej odsłania własne pojmowanie treści w poezji, treści — jako duszy ludzkiej, jakkolwiek słowa „dusza" wymawiać mu niewolno. Zaś jako pisarz, stale w biegu spraw literackich uczestniczący, nie może nie wiedzieć, że literatura, w której się kręci, jest kryptożydowska, a jej treść—bolszewicka, od góry do dołu porkografją, koprolalją, koprofagją, nekroforją, plazmatyzmem i cynizmem splugawiona, do prowokacyjnych celów polityki żydowskiej przeznaczona, z artyzmem nic wspólnego nie mająca, w przeważnej części grafomańska. Autor jednak pokrywa to wszystko konspiracyjnem milczeniem, a swoją „Walkę o treść" przezornie i całkowicie przenosi na grunt szamotań się o formę. Rzecz zrozumiała! Gdy milczy się o przedmiocie i treści, to kucnąwszy nad kupką gnoju, można o jej formie rozprawiać z równą powagą, jak o katedrze gotyckiej... Poetyzujące żydki bacznie pilnują, żeby ich goj nie palnął gdzie prawdy o tem, czem są i jak pachną.

Ale i w zakresie badań nad formą rozgawędzony autor gubi siebie i czytelnika w tysiącu (jak sam nazywa) „dygresyj", w gęstwie drobiazgów, uskoków i podskoków, a odskoczni swej nigdzie nie ukazuje. A przecie wystarczyłby jeden rozdział, skromna jedna dziesiąta jego tomu, żeby wytyczne własnego pojmowania sprawy porządnie ustawić i czytelnika dokładnym kątomiarem uzbroić. Pan Irzykowski, i tu wierny zasadzie chaotyczności, rozproszkowania i rozjarmarczenia, z drwinami pędza czytelnika w odsyłaczach do swoich artykułów kiedyś, gdzieś w prasie drukowanych, jakgdyby cały świat miał obowiązek śledzenia dziennikarskich wędrówek ruchliwego estetyka.

Autor widocznie czuje fałszywość swego stanowiska, bo pod koniec książki usprawiedliwia sie z niejawnienia ideologji własnej. Z właściwą sobie przekorą powiada przeto: „Mam ją (ideologję), — dotychczas na własny użytek, jako sprawdzian i kompas prywatny. Może w trzecim tomie uchylę coś z tego". W książce z tytułem „Walka o treść" przekora taka i taka zapowiedź brzmią dość zabawnie. Cóż to za wódz, który po rozproszeniu i zmarnowaniu własnej armji, oświadcza, że ma artylerję w boju rozstrzygającą, ale na własny użytek prywatny...?! Blisko trzysta stronic tarmoszenia się i pustego gadulstwa po to, żeby w końcu w sprawie najważniejszej i jedynej, odesłać czytelnika w przyszłość — i to warunkowo... „może tam coś z tego uchylę"!... Nonszalancja prawdziwie proletarjacka! Na rzecz arogancji żydowskiej poszła tu w kąt nawet metodyka niemiecka, ta bowiem, choć mętna, zawsze jednak wymaga uprzedniego określenia gruntu i punktu widzenia.

Takie są oto skutki działania w dziedzinie kultury dwóch „agentur obcych". Zepsuta i pozbawiona wartości książka p. Irzykowskiego jest pod tym względem typowa. W maleńkiej skali można przestudjować na niej przyczyny i objawy rozkładu umysłowego, jaki cechuje obóz lewicowy, który słynie ze swego germanofilstwa i judofilstwa. W jego polityce, socjologji, historjozofji, moralności, filozofji — wszędzie ten sam mąt i to samo chomąto. A są też tu i rodzime cechy, do maści dobrane, jak: warcholstwo, lekkomyślność, próżność, pycha, megalomanja i mikromanja (pod rękę!... lecz pierwsza—osobista, a druga—narodowa), drażliwość, kłótliwość i tym podobne. Autor w tej płaszczyźnie jest tak dalece aktualny, że choć ma warunki na dobrego stylistę, nawet język swój i styl sprowadza na poziom marszałkowski.

Rozkładowe działanie żydowszczyzny polegą przedewszystkiem na odwracaniu najprostszych prawd dnem do góry przy równoległem podjudzaniu tłumów. Zamiast hierarchji we wszelkiem rządzeniu, stawia się zasadę panarchji, czyli anarchji. Zamiast osobistego myślenia i tworzenia, stawia się zasadę wieców masowych, czyli również anarchję. Dno życia, fundamenty społeczne, czyli tłum ludzki wypycha się w górę, do steru rządów i kultury, a jednostki samodzielne wpycha się w dół. Tym sposobem stwarza się chaos, a wodze władzy chwytają ręce wytrawnych bandytów politycznych i ich paserów — żydów. Słowem, „szantaż bez końca", jak nieopatrznie woła sam p. Irzykowski. Lecz słowa, ktore on stosuje do cząstki zjawiska, należy rozciągnąć na całość. Tak jest! Szantaż bez końca nietylko w czasie, ale i w przestrzeni. A pan Irzykowski jest nietylko żertwą tego szantażu, ale i bezwiednym jego szerzycielem.

Któż mu kazał popełniać—w postaci dużej książki — błąd beznadziejny, który sam autor zgóry we wstępie tak trafnie ocenił i potępił? Kto mu kazał wiecować zamiast myśleć, bazgrać na marginesach zamiast tworzyć, użerać się z piętnastoma żydkami z chederu, zamiast badać sens i zdrowie literatury, prawować się pieniacko z obłąkaną grafomanją, zamiast rozwijać poglądy samodzielne, bzykać, brykać, baraszkować i wierzgać w obcym mącie i wrogiem chomącie, miast na wolności własne pole zaorać, obsiać i oporządzić? I gdybyż to czynił człowiek pozbawiony talentu, rasy, intuicji, niezdolny do myślenia i budowania! Lecz w książce na każdym kroku wyczuwa się świadomość własnego gruntu i bunt prze-

ciw temu, co sam autor, jakby pod przymusem, czyni...

Czy ta świadomość i bunt dają rękojmię, że autor wyzwoli się z oplotów mafji i z hypnozy poczwarnego polipa? Można wątpić. P. Irzykowski uskarża się na osamotnienie i milczenie, które go otaczają, oskarża społeczeństwo polskie. Niechże raczej dobrze się przyjrzy lepszej cząstce swej duszy i porówna ją z najbliższem swem otoczeniem. Ono to, a nie kto inny, skazuje go na milczenie, by tym sposobem unieszkodliwić to, co w autorze wyrywa się na wolność. Ono to jeszcze łaskawie pozwala autorowi bzykać, brykać i baraszkować w chomącie, ale milczeniem ostrzega: „dość! i ani kroku dalej"! Ono uwzględnia temperament,—owszem, ono jest humanitarne dla bzykań, zwłaszcza tam — na niedostępnych dla tłumu Olimpach i Parnasach. Ale nie dalej! Byle nie treść, nie grunt, nie prawda, nie samodzielność! Byle nie charakter!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

SĄD SALOMONA

Z KSIĄG KRÓLEWSKICH (III) ROZDZIAŁ III

W tece pośmiertnej zmarłego w 1910 r. znakomitego poety Felicjana Faleńskiego znalazł się wiersz, tutaj przez nas podany, nie włączony do serji „Przekładów z Pisma Starego Zakonu" (1902), i dotąd nigdzie nie drukowany:

16. Raz dwie przed króla przyszły białogłowy.
17. Z tych jedna, czołem bijąc, temi słowy
Rzecze w swej chuci niepomiernym szale:
— „Panie mój! Niech się krzywdy mej użalę!
Ja i ta druga w chacie tejże samej,
Dwie wszetecznice, wspólnie gdy mieszkamy,
Jam, dnia jednego zległa w jej komorze,
18. A gdy trzeciego dnia zabłysły zorze,
I ona także zległa. W tej zaś dobie
Nikt więcej, tylko myśmy były obie.
19. Wtem ona, w twardym śnie, ciężarem ciała
Swój płód przygniótłszy na śmierć, chyłkiem wstała,
20. I trupa tego pod mą pierś zdradziecko
Podkładła, kradnąc żywe moje dziecko.
21. A gdy mnie rankiem budzi radość słodka,
Bym jęła karmić mego noworodka,
Znajduję martwy zwłok u mego łona!
Lecz, gdy weń bliżej patrzę zrozpaczona —
Królu! Zważ boleść twej pokornej sługi —
Widzę, iż nie jest mój, lecz tamten drugi."
22. A na to droga: — „Wcale jest inaczej.
Niż jak ty mówisz! Król rozsądzić raczy,
Gdyż sam Bóg da mu wiedzieć: co tu czyje?
Jej, ten co umarł, mój zaś ten co żyje!"
I tak się one obie czas nie mały
Przed oblicznością króla rozpierały.
23. Rzekł król: — „Z was dwojga, każda miećby chciała
Własność owego dziecięcego ciała,
24. Wszakże tak? Tedy, ostry miecz przynieście,
I zadość czyniąc tej i tej niewieście,
25. Z rozpłatanego dziecka w dwie połowy,
Niech każda weźmie udział jednakowy!"
26. Tu pierwsza w dłonie klaska i tak woła:
— „Aha! Świadkowie wszyscy schylcie czoła!
Bo tu padł wyrok w swej słuszności rzadki".
Niechaj śmierć bierze ten, co ma dwie matki!
Jak ja mam po tym znajdku być w żałobie, —
Te niech nie będzie ani mnie, ni tobie!"
Druga zaś, klęcząc, mówi pełna trwogi:
— „Panie mój! — błagam — cofnij sąd zbyt srogi!
Niech już sierotą jedna ja zostanę —
A tej niech dziecię żywem będzie dane".
27. Rzekł król: — „zaprawdę, z dwóch tych, tylko taka
Może być matka tego jedynaka,
Która — przedziwna uczuć swych przechera —
Sama się jego — byle żył wypiera.
Przeto sumienie czyste gdy mieć chcecie,
Jej dajcie żywem to z pod miecza dziecię" —
28. To słysząc, wszystek naród zgromadzony,
Pod stopy króla korne słał pokłony,
Każdy się w sobie dziwiąc nieskończenie:
Iż niemal Boskiem było to sądzenie.

FELICJAN FALEŃSKI

LIBERUM VETO

Niepokojące objawy. — Powszechne łaknienie władzy. — Sprawa drugorzędna a główna. — Osierociałe rolnictwo. — Głos Podkowy. — Co dała reforma rolna. — Jedyna rada.

DWA fakty, kilkakrotnie występujące w naszych dziejach, zwłaszcza zaś w epoce upadku i utraty niepodległości, niepokoją obecnie naszą uwagę. Jest to nieudolność umysłowa i wątłość moralna organizatorów i kierowników kraju oraz dziwnie tępa obojętność ogółu na objawy groźne i głosy ostrzegawcze. Codziennie czytamy w prasie krytycznej życiorysy osobników wybrakowanych, duchowo upośledzonych lub pokalanych rozmaitemi winami i nagle wprowadzonych na jakieś wydatne stanowisko publiczne. Zdarzają się między nimi jednostki, o których nic nie wie opinja społeczna, ale za to dużo wie encyklopedja kryminalna. Rekrutacja urzędnicza odbywa się często bądź drogą ochotnictwa, bądź protekcji. Działa tu duch starego szlachectwa, który ponad wszystko cenił urzędy i dzięki któremu nie było w Polsce „urodzonego" bez jakiegoś tytułu. Dziś też może u nas zbraknąć szewców, rolników, zdunów, blacharzów i wszelkich majstrów, ale nie zbraknie nigdy urzędników, których głupotę i nędzę wydrwił kiedyś St. Szczepanowski po powrocie z Anglji. Jest to naszem historycznem i obecnem nieszczęściem, że w nawie i u steru państwa mamy tłum polityków a garsteczkę gospodarzów. Bo my siłę osobistą i narodową widzimy głównie we władzy. Walczą o nią członkowie rządu, stronnictw, stowarzyszeń, instytucje, wszystkie organizacje społeczne, które nie starają się tworzyć, lecz panować. Dzieje się to zarówno na wyżynach, jak na nizinach narodu. Nie tylko partje sejmowe lub zrzeszenia wielkiego zakresu, ale nawet maleńkie skupiny wiejskie — kółka rolnicze, związki kobiet, zjednoczenia młodzieży i t. p.—pracują słabo, lecz kłócą się zawzięcie—o wpływy, o werbunek członków, o władzę. To też nasze organizacje społeczne podobne są do młynów, obracających swe koła z wielkim turkotem, których kamienie nie mielą żadnych ziaren. Stosunek wydajności pracy tych związków do ich liczby jest przerażająco mały. Ma je każda wieś, każda parafja, każda gmina, ale ich działalność ogranicza się zwykle do wyborów, godności, tytułów, kłótni wewnętrznych, zatargów z podobnemi zrzeszeniami. Przez całe ciało naszego narodu przebiega w licznych rozgałęzieniach ten nerw pożądania władzy a zaledwie w niektórych organach mieszczą się nerwy ruchu i czucia twórczej pracy. Zgodnie z tym ustrojem mózg rządu, *spiritus movens* jego działań nie ma prawie wcale komórek gospodarczych, tylko polityczne, albo, ściślej mówiąc, rozkazodawcze. Tkwimy ciągle w nieskończonych kombinacjach niemiecko-francusko-angielsko-litewsko-bolszewickich, ciągle w złudzeniu, że jakaś wygrana partyjka szachów dyplomatycznych da państwu siłę. Co się dzieje wewnątrz tego państwa, jak ono gospodarzy, to, według wyrażenia jednego z najzuchwalszych i najbezmyślniejszych wodzów „sanacji", jest „sprawą drugorzędną".

Tymczasem jest to właśnie sprawa pierwszorzędna. Kto komu odebrał władzę, kto kogo zepchnął z wysokiego stanowiska, kto kogo zwyciężył w atletycznych walkach partyjnych, niech tam sobie spisuje „kronika skandaliczna", dla teraźniejszego życia i przyszłości narodu najważniejszem jest pytanie, jak gospodarujemy i najsmutniejszym fakt, że przez całe dziesięciolecie niepodległości gospodarowaliśmy źle i coraz gorzej. Wtedy kiedy nam potrzebny był Lubecki, dostaliśmy Wł. Grabskiego, który rozumiał i usiłował przeprowadzić jedną tylko operację ratowniczą: ogołocić społeczeństwo ze wszystkich zasobów dla wzbogacenia skarbu państwa. Mechanik odszedł, ale jego pompy podatkowe pozostały i dalej działają z coraz większą energją. O pomnożeniu, rozszerzeniu i pogłębieniu dla nich źródeł bogactwa myśli się mało, ale wiele o tem, ażeby one ssały sprawnie.

Pomimo wszystkich sofistycznych wykręcań rzeczywistości, nie przestaje to być pewnikiem, że główną podstawą tego bogactwa jest rolnictwo. I właśnie ono, które we wszystkich mądrze rządzonych krajach europejskich stało się przedmiotem szczególnej opieki rządów po wojnie, w jednej Polsce uległo poniewierce i zabójczym ciosom. Okaleczyła je reforma rolna, dobija fiskus zdzierstwem podatkowem i grzebią „aprowizatorzy", którzy sprowadzają z zagranicy zboże po to tylko, ażeby jego cenę obniżyć w kraju, ażeby niezużyte ze stratą sprzedać, czyli—jak w bajce — naśladować niedźwiedzia, który zabijając kamieniem muszkę na czole śpiącego człowieka, roztrzaskał mu głowę.

To opętańcze, z demagogji i bezmyślności utkane, prawdziwie macosze traktowanie rolnictwa oświetlił w broszurze p. t. „Rolnictwo jako sprawa narodowa" znakomity ziemianin, godny obywatel, autor piszący pod pseudonimem Podkowy. Wykazuje on, że przez 10 lat niepodległości nie zrobiono nic dla tej najważniejszej gałęzi płodnych prac społeczeństwa, natomiast podcięto ją i skazano na uschnięcie zapomocą reformy rolnej. Nie była ta reforma dziełem jakiegoś mądrze obmyślanego planu, ale konceptem demagogji i tranzakcją prokurentów partyjnych na giełdzie politycznej. Co się stanie z gospodarstwem ziemi, tego nie ważono na szalach obrad sejmowych, starano się wyłącznie o „uzgodnienie" sprzecznych żądań i zamiarów. Jednym głosem większości uchwalono prawo, wstrząsające największym i najważniejszym gmachem budowy społecznej, który zarysował się niebezpiecznie i częściowo rozpadł w ruinę. Improwizatorowie ustawodawstwa, gracze polityczni, amatorzy czynów jaskrawych, ryzykanci i wartogłowy, których dużą gromadę posiadał sejm konstytucyjny, lubią gwałtowne przewroty a nawet wierzą w ich moc twórczą. Z takich pobudek i pomysłów złożona nasza reforma rolna wykazała swoje fatalne skutki. Kto nie jest lub nie chce być ślepym, widzi jasno, że ogólna suma produkcji rolnej spadła, że folwarki, zagrożone wywłaszczaniem przymusowem i jednocześnie przygniecione brzemieniem podatkowem zaniechały ulepszeń, że parcelanci, obdarzeni gołą ziemią bez budynków, sprzętów i środków gospodarczych, pozostawili ją bądź zupełnie opuszczoną, bądź zaniedbaną, że tam, gdzie niedawno rozpościerały się doskonale uprawne i płodne niwy, dziś rozlega się smutna, jałowa pustka. Państwa rządzone rozumnie, przeprowadzając kolonizację wewnętrzną, nie poprzestały na nadaniu osadnikom samej ziemi, lecz zaopatrzyły ich we wszelkie pomoce i środki produkcji. U nas sprawcami reformy byli partacze ekonomiczni, „mściciele krzywd ludu", pokątni doradcy ciemnej masy, szulerzy polityczni, ośmieleni uległością sterroryzowanych wrzaskiem demagogicznym żywiołów rozsądnych, ale bojaźliwych, które nie umiały oprzeć się natarciu warchołów, a może nawet uwierzyły, że to są bogowie, którzy stworzą świat nowy. Zamiast reformy rozumnej, praktycznej, trwałej, nieosłabiającej narodu gospodarczo, powstał zamęt, niepewność, ruina większych warsztatów pracy i łudzona pozorami szczęścia nędza małych. „Wszystkie wartości stwarzane przez rolników"—pisze Podkowa — „stale są przez rząd zgarniane do kas skarbowych

pod rozmaitemi postaciami... Nauka, przeszłość, tradycja nie posiada u nas żadnych walorów. Jesteśmy jedynie ludźmi dnia dzisiejszego... Wszelkie inwestycje w gospodarstwach ustały, większe budowle nie są naprawiane, gdyż nie wiadomo, czy będą potrzebne, to samo z maszynami, ograniczono hodowlę koni remontowych, są już majątki, które dalsze pola wprost zamieniają w odłogi... Psychiczna strona reformy rolnej większe zrobiła spustoszenie w rolnictwie, niż jej faktyczny dotąd dorobek". Chce ona zaspokoić „głód ziemi" u ludu, ale nie wie, czy zapomina, że tego głodu nie zaspokoi się samą ziemią, bez środków pomocniczych i bez umiejętności użytkowania jej. Koloniści nie mają czem i nie umieją gospodarować. „Gdy się przyjrzymy naszym szkołom powszechnym na wsi", —mówi Podkowa—„wnikniemy w te fundamenty naszej siły prężnej narodu, w ich pomieszczenia, wprowadzoną tam naukę i wgłębimy się w oczekującą tę dziatwę przyszłość — to rozpacz ogarnia. Izby szkolne małe, ciemne, duszne, w nich tablica zgruba poheblowana, naturalnej barwy drzewa. Jest nakaz z góry dążyć do szkoły 7 oddziałowej, a miejsc więcej w budynku niema, więc w tej samej izbie odbywają się wykłady 2—3 oddziałów na zmianę". Trzeba skracać wykłady. Rezultat? Uczniowie po wyjściu ze szkoły nie umieją czytać i pisać po polsku. Ale za to dzięki krytyce nauczycieli historji Polski, umieją gardzić jej przeszłością. Jakże inaczej u naszych sąsiadów i wrogów! Szkoła to najokazalszy budynek na wsi, a nauka w niej gruntowna i celowa.

Gdybyśmy na pytanie: co robić? — chcieli dać najkrótszą odpowiedź, może najstosowniejszą i nie tylko w odniesieniu do reformy rolnej, byłaby uwaga ministra belgijskiego w raporcie do króla: „Po czterech latach wojny, obok naglącej potrzeby odbudowy zrujnowanego materjalnie kraju, staje przed narodem zadanie poważniejsze i trudniejsze — o d b u d o w a s u m i e ń". Rzeczywiście, nasza „sanacja", nasza reforma moralna jest jeszcze groźniejsza niż reforma rolna.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

ŚWIĄTECZNE DNI W POZNANIU

MANIFESTACJA W ROCZNICĘ TRAKTATU WERSALSKIEGO

OBCHÓD poznański stał się wielką manifestacją narodową. Odbył się on bez oficjalnego udziału państwa, co się tłumaczy specjalnym układem stosunków w tej chwili; ale właśnie ta okoliczność uwydatniła prawdę, w pewnych sferach kwestjonowaną, że życie d u c h o w e daje Polsce nie kto inny, lecz n a r ó d polski, gospodarz na tej ziemi, szczęśliwie dziesięć lat temu zjednoczonej. On tylko może odczuwać w całej pełni wartość moralną tej zdobyczy. Uroczystość odbyła się w Poznaniu, do którego siłą rzeczy przeniósł się ośrodek życia narodowego, a szczególnego akcentu nadawał jej udział osobisty Romana Dmowskiego, który na traktacie Wersalskim wespół z Ignacym Paderewskim, ówczesnym (28 czerwca 1919 r.) premjerem, położył swój podpis, Dmowskiego, któremu Polska zawdzięcza, że znalazła się w gronie państw zwycięskich, podpisujących traktat.

W zeszycie poprzednim podaliśmy odezwę, wzywającą na ten obchód. Nazwiska osób, które ją podpisały, świadczą, że zjednoczył się w Poznaniu w tym dniu cały naród w osobach swoich najwybitniejszych przedstawicieli. Akademję poprzedziło solenne nabożeństwo w kościele farnym, odprawione przez ks. biskupa Dymka. Kazanie wygłosił ks. arcybiskup Teodorowicz. Zrobiło ono wielkie wrażenie swoją formą i treścią, było właściwie wstępem ogólnym ze stanowiska religijnego do rozważań dalszych na akademji.

Akademję zagaił b. wojewoda Adolf Bniński, poczem znakomitą mowę wygłosił prof. uniwersytetu,

KAZIMIERZ TYMIENIECKI.

Oto ważniejsze momenty tego cennego referatu: „Traktat wersalski miał się stać triumfem z a s a d y p a ń s t w a n a r o d o w e g o nad dawniejszą zasadą legitymizmu państw dynastycznych. Upadek trzech dynastyj, które wypełniły w znacznym stopniu historję polityczną zeszłego stulecia t. j. Hohenzollerów, Habsburgów i Romanowów, miał znaczenie zupełnie konkretne a zarazem symboliczne... Wersal likwidował Wiedeń, a data 1919 r. zastąpić miała w historji datę roku 1815.

Zwycięstwo zasady państw narodowych było przedewszystkiem zwycięstwem Polski. Jeżeli traktat wiedeński, mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie możnaby tutaj uczynić, zwracał się przeciwko nam, to traktat wersalski stawał po naszej stronie oraz po stronie tych haseł, które były dla nas święte w okresie niewoli, a za które lała się krew naszych męczenników i którym służył trud a podtrzymywała je wiara naszych wyznawców.

Traktat wersalski oddawał Polsce ziemie, które były prastaremi i rdzennemi polskiemi ziemiami, niezbędnemi dla istnienia i rozwoju państwa oraz narodu polskiego, ale które każdy Niemiec uważał jako na wieczność zdobyte. W następstwie tego, jakgdyby w retrospektywnym kalejdoskopie, przesuwają się przed nami zagadnienia, o których głucho było w historji politycznej Europy od czasu kongresu wiedeńskiego. Pruskie racje stanu padają jedna za drugą. Upada hasło najbliższego połączenia Wrocławia z Królewcem przez Poznań, upada myśl Fryderyka II, odziedziczona jeszcze po Krzyżakach, pozszywania rozerwanych kawałków Prus kosztem Polskiego Pomorza, wstrząśnięty zostaje u podstaw bastjon niegdyś habsbursko-austrjacki, a następnie pruski na Śląsku Górnym, którego połowa odchodzi do Polski po walce plebiscytowej. W to miejsce dochodzą do głosu polskie hasła i polskie, jeżeli tak można powiedzieć, dogmaty narodowe. Bez Poznania Polska może być tylko okaleczałym kadłubem — głupia Polska bez Poznania, jak mówiono w pierwszej połowie XIX wieku. — Pomorze polskie jest nie tylko drogą do morza, ale pełniąc rolę niejako płuc w organizmie państwowym, jest jednocześnie i było od wieków ziemią polską, zaś Kaszubi są prawdziwymi strażnikami morza polskiego, wreszcie Śląsk Górny, stara ziemia piastowska, przez język i wiarę swego ludu łączy się z całością narodu polskiego.

I tutaj stanęliśmy wobec drugiego najważniejszego dla nas zagadnienia, którego dotyczył już bezpośrednio traktat wersalski, a mianowicie określenia zachodnich granic Polski.

Traktat wersalski nie uznał wprawdzie wszystkich postulatów polskich, historycznych i etnograficznych, lecz uznał bądź co bądź znaczną ich część. — Poza

granicami państwa polskiego pozostały jeszcze wielkie obszary z ludnością przeważnie polską, wydzielone też zostało z tych granic Wolne Miasto Gdańsk. Jednakże dzieło rozbiorów Polski w głównym zrębie zostało obalone, a granice, wytknięte w traktacie wersalskim na zachodzie Polski, zbliżają się w najogólniejszym zarysie do granic przedrozbiorowych. W tem tkwi niewątpliwie najważniejsze historyczne znaczenie traktatu wersalskiego dla Polski, a prawdopodobnie także i dla Europy.“

Prof. Tymieniecki rzucił następnie w zarysie bardzo głęboki wywód historyczny o walce żywiołu germańskiego z Polską na przestrzeni dziejów i o znaczeniu tej historji w dziele traktatu wersalskiego.

Poseł St. Stroński w pięknem przemówieniu dał obraz dziejów konferencji pokojowej, a po nim stanął na mównicy

ROMAN DMOWSKI,

będący podczas całej tej uroczystości przedmiotem gorących owacyj. Dmowski mówił z właściwą sobie skromnością, wypływającą z głęboko ugruntowanego moralnego stosunku jego do sprawy. Mowa jego znana jest już z dzienników. Przytoczymy ważniejsze momenty, zawierające pogląd Dmowskiego na stan obecny polityki polskiej:

„Granica zachodnia Polski, wykreślona traktatem wersalskim, jest wynikiem wytężonej walki politycznej. Walka ta rozpoczęła się wyraźnie już po dwóch pierwszych latach wojny, kiedy konieczność odbudowania państwa polskiego stała się widoczną, i odtąd już stanowi ona istotę sprawy polskiej w wojnie i na konferencji pokojowej. Jest to walka między dwoma biegunowo przeciwnemi sobie dążeniami. Stanęło do niej z jednej strony nasze dążenie do odbudowania Polski w roli wielkiego państwa, politycznie i gospodarczo niezawisłego od sąsiadów, nie będącego niczyjem narzędziem, ale prowadzącego własną mocarstwową politykę, podyktowaną mu przez dobro narodu i dobro wspólnej z innemi narodami cywilizacji. Źródłem tego naszego dążenia nie były tylko ambicje narodowe, jak twierdzili nasi przeciwnicy — ambicje fałszywe, jak to wyraźnie dawali do zrozumienia. Polacy nie są małym narodkiem, ani swą liczbą, ani obszarem, który zajmuje ich rasa i ich cywilizacja, ani swą twórczością duchową.

Zamknięcie naszego narodu w ramy małego państewka byłoby niewiele mniejszą krzywdą od rozbiorów.

Z drugiej strony, ktokolwiek zdolen jest głębiej się zastanowić nad położeniem geograficznem Polski, zrozumieć musi, że tu, na naszej ziemi, niema miejsca na małe, słabe państewko, niezdolne do zachowania swej samoistości wobec sąsiadów.

Dążenie nasze spotkało się z zaciekłym oporem licznych, niezawsze odsłaniających swe oblicze przeciwników, którzy często nie przebierali w środkach.

Walka przeciw pojęciu Polski jako wielkiego państwa, opóźniła znacznie ostateczne uznanie reszty granic, z wielką szkodą dla zdrowego rozwoju życia państwowego nazajutrz po jej odbudowaniu. Granice te musieliśmy przeważnie własnemi wysiłkami ustanawiać, czynić je faktem dokonanym, uznawanym później przez mocarstwa.

I wspomnę tylko, że przeciwnicy nasi w walce o granicę zachodnią Polski nie zamilkli po uznaniu jej przez traktat wersalski. Po dziś dzień mamy do czynienia z próbami kwestjonowania tej granicy, próbami wprost nieprzyzwoitemi ze stanowiska obyczaju międzynarodowego w świecie cywilizowanym. Niestety, zuchwalstwo to znajduje często zachętę w niedość energicznej reakcji rządów polskich.

W dniu dzisiejszym upływa lat dziesięć od położenia tych podstaw pod nowoczesne państwo polskie. Czy to dziesięciolecie potwierdziło słuszność naszych założeń? Czy dowiodło ono, że Polska jest przeznaczona na to, żeby w tej części Europy zająć stanowisko mocarstwa, które na swoim obszarze jest panem, żyje życiem samoistnem?

Przeciwnicy nasi twierdzili, że dzielnice nasze, należące przez długi czas do różnych państw, żyjące pod różnemi prawami i różnemi systemami politycznemi, nie będą umiały żyć wspólnem życiem państwowem. Paru lat wystarczyło do wykazania, jak sztucznym, jak przeciwnym naturze był ten podział, jak potężne były węzły, łączące nas w jeden naród. Dziś każdy już widzi, że wystarczy, ażeby nasza praca kodyfikacyjna została zakończona, ażeby doprowadziła do ujednostajnienia prawnego na całym obszarze państwa, a reszta różnic pomiędzy dawnemi zaborami zniknie. Pozostaną różnice prowincjonalne, istniejące w każdem państwie, w każdym narodzie, tylko mniejsze znacznie, niż w innych państwach europejskich.

W Polsce, państwie zbudowanem na kresach cywilizacji zachodniej, zawsze istniały i dziś istnieją wielkie różnice poziomu cywilizacji między ziemiami zachodniemi a wschodniemi. Można było przewidywać, że ponowne połączenie tych ziem w jedno państwo spowoduje obniżenie poziomu cywilizacji na zachodzie. Życie wykazało, że to były obawy płonne. Najlepszą na nie odpowiedzią jest porównanie naszego Poznania, w którym się dziś znajdujemy, z Poznaniem z przed lat kilkunastu, pozostającym pod rządami niemieckiemi. Najzaciętszy nasz wróg musi przyznać, że odbył się tu niesłychanie szybki postęp, który uczynił to nasze historyczne miasto większem, bogatszem, żyjącem na wyższą o wiele stopę gospodarczą i cywilizacyjną, wreszcie piękniejszem. A wszystko to się stało przy całkowitem prawie zaniknięciu w niem żywiołu niemieckiego, który niedawno jeszcze szeroko tu się rozsiadał.

Ten jeden przykład świadczy, jak olbrzymią siłę żywiołową, cywilizacyjną i gospodarczą, wykazał naród polski po swojem zjednoczeniu. To samo widzimy w mniejszym lub większym stopniu wszędzie — od Poznania do Wilna i Łucka, od wschodnich Karpat do Gdyni.

W jak wielu dziedzinach cywilizacyjnych i gospodarczych Polska szybko poszła naprzód w ciągu pierwszego dziesięciolecia swej niepodległości, najlepiej świadczy wystawa, którą obecnie w Poznaniu oglądamy.

Ten nasz postęp jest wyrazem żywiołowych sił zjednoczonego narodu, wyrazem tem potężniejszym, że w planowem kierowaniu jego pracą popełniliśmy i popełniamy liczne błędy. Okres, który przeżyliśmy przed odzyskaniem własnego państwa, nie przygotował ludzi wyższej miary, umiejących dać należyte kierownictwo życiu narodu, przy którem wysiłki jego osiągnęłyby o wiele donioślejsze wyniki.

Jeżeli słusznie można powiedzieć, że naród nasz w dziesięć lat po zjednoczeniu we własnem państwie nie osiągnął jeszcze równowagi politycznej, nie wytworzył sobie trwałej formy rządów, nie oparł swego życia politycznego na niewzruszonych podstawach prawnych — to każdy, kto umie myśleć, rozumie, że inaczej być nie mogło, że w warunkach, w których odzyskaliśmy byt państwowy, dziesięciu lat nie mogło

starczyć na ustalenie form naszego politycznego bytu i na wytworzenie rządów, odpowiadających potrzebom narodu.

Z temi trudnościami możnaby się było uporać skutecznie, gdyby warstwy przewodnie narodu, warstwy oświecone, w dzisiejszem pokoleniu posiadały dostateczną dojrzałość i wytrawność polityczną. Warstwy te wszakże, odsunięte pod obcem panowaniem od udziału w rządach, nie wykształciły się ani umysłowo, ani moralnie do spełnienia wielkich zadań, które na nie czekały. Brak im nietylko umiejętności, ale i poczucia odpowiedzialności. Dopiero nowe pokolenia, wyrastające we własnem już państwie, rozwijają w sobie to poczucie, dochodzą do zrozumienia, że każdy oświecony, świadomy Polak jest odpowiedzialny za swe państwo, za rządy tego państwa, za błędy rządzących i za ich zbrodnie.

Trzeba pamiętać, że państwo nasze narodziło się nanowo wśród rewolucyj, ogarniających wszystkie sąsiednie kraje, i że przypadła mu rola frontu zachodniej Europy wobec rosyjskiego bolszewizmu. Pomimo, że Europa niezawsze mu tę rolę ułatwiała, odegrało ją ono własnemi siłami wcale pomyślnie. Granica polsko-rosyjska pozostała granicą między europejskim ustrojem politycznym i społecznym a rewolucją bolszewicką.

To położenie i ta rola nie pomaga nam do ustalenia form ustroju i do rozwoju naszego życia politycznego na zdrowych podstawach. Walka o te podstawy ciągle trwa i trwać jeszcze przez pewien czas musi. Tem rychlej się ona zakończy i tem pomyślniejsze da wyniki, im całkowiciej będziemy w niej pozostawieni sami sobie, im mniej będą się w nią wtrącały czynnniki obce, im mniej będzie prób narzucania nam skądkolwiek reguł postępowania politycznego, czy to jawnie i rzekomo legalnie, czy też na drodze intryg i knowań podziemnych. Polska sobie ze swoim ustrojem politycznym poradzi, byle się nią z zewnątrz w tym względzie nie opiekowano.

Długie trwanie naszego organizowania się politycznego na wewnątrz powoduje słabość naszej polityki zewnętrznej, która dotychczas nie dorosła do roli, jaką jej obszar, zaludnienie naszego państwa i wartość naszego narodu przeznacza. Nie może się ona w tych warunkach zdobyć na plan jasny i konsekwentny, skazana jest na różne zboczenia, szkodliwe i niebezpieczne, ani na stanowczość i siłę, czasami nawet na godność należytą. Skutkiem tego daje ona nieraz nazewnątrz fałszywe pojęcie o postawie i dążeniach narodu. Jest to złe dla nas i dla innych państw, w naszej polityce zainteresowanych. Gdy np. kwestjonuje ktoś naszą granicę zachodnią pod hasłami ustalenia w Europie pokoju, najuczciwiej jest i najużyteczniej powiedzieć bez osłonek prawdę — że podnoszenie tej kwestji jest najprostszą drogą do rozkiełznania wojny. Bo naród nasz nie pozwoli sobie odebrać ani piędzi ziemi swojej bez walki o nią, do ostatniej kropli krwi. Kto myśli, że jest inaczej, tego spotka wielki zawód.

Wielki zawód jest i w coraz większej mierze będzie udziałem tych, którzy liczyli, że Polska nie podoła swoim trudnościom wewnętrznym i trudnościom swego położenia zewnętrznego. Naród polski licznemi faktami zaświadcza o swojej jedności, sile i żywotności; jego praca cywilizacyjna i gospodarcza dźwiga szybko jego życie zbiorowe na wyższy poziom i pomnaża jego siły. Coraz więcej będzie on ważył w naszej części świata.

W miarę dorastania nowych, nie wyrosłych w niewoli pokoleń, coraz szybciej przezwyciężać on będzie trudności wewnętrzne; ustali on formy swego bytu i pójdzie szybkim krokiem do należnego mu stanowiska mocarstwowego.

Wielkie, silne państwo polskie potrzebne jest nie tylko nam do naszego rozwoju narodowego, do urzeczywistnienia naszych celów i spełnienia naszych zadań. Nie mniej jest ono potrzebne do utrwalenia pokoju, a z nim warunków wielkiej pracy cywilizacyjnej całej Europy".

DEKLARACJE

Na zakończenie Akademji złożyli deklaracje przedstawiciele prowincyj granicznych: ks. Bolt (Pomorze), Józef Dreyza (Śląsk), poseł Zwierzyński (Wileńszczyzna), książę W. Czartoryski (Małopolska Wschodnia), oraz Tadeusz Bielecki w imieniu młodego pokolenia Polski. W przemówieniach tych brzmiała nuta patrjotyzmu, zdecydowanego na czyny w obronie granic i narodowego charakteru państwa. Ks. Bolt zakończył tak mowę:

„Wiemy, że żadna ziemia polska nie jest przedmiotem takiej zazdrości, takiej pożądliwości wrogów, jak nasze Pomorze. I chcemy, żeby cała Polska wiedziała, że rozumiemy swą rolę dzisiejszą, jako służbę Polsce wielkiej, zjednoczonej, o morze Bałtyckie opartej. Mamy pełne poczucie ważności naszego posterunku i odpowiedzialności, która na nas spada i Polska może być pewna, że jej wierni synowie pomorscy w obronie swego posterunku każdej chwili gotowi są życie oddać. Bo jak dla Polski niema wielkiej państwowej i narodowej przyszłości bez Bałtyku i bez Pomorza, dla Pomorza niema życia poza Polską".

ZLOT SOKOLSTWA

Wspaniałe dni świąteczne w Poznaniu 28—30 czerwca liczebnością i napięciem uczuć narodowych przypominały uroczystość Grunwaldzką w Krakowie 1910 r. Uświetnił je i masom nadał tonu zlot Sokolstwa, obliczany na 28.000 ludzi. Czerwone koszule rozjarzyły szarość tłumów, które w tych dniach pamiętnych zalewały Poznań i obszary wystawowe. Statystyka wykazuje, że wystawę zwiedzało przez święta po 205.000 osób dziennie. Poznań dokazał wielkiej sztuki organizacyjnej, że te masy pomieścił, przeżywił, zestroił i w wysokim nastroju bez wypadków i dyssonansów utrzymał.

Postaw Sokolstwa polskiego miała wysokie napięcie „na baczność" wobec chwili historycznej. Był to bowiem zlot nietylko domowy. Brały w nim udział delegacje związków gimnastycznych Anglji, Francji, Włoch, Belgji, Czech, Jugosławji, Rosjan (emigracja). Najliczniejsze były słowiańskie: z Jugosławji przybyło 160 osób (w tem 50 pań); Włochów 93 i t. d.

W sobotę 28 rano odbyło się na boisku nabożeństwo polowe. Trzeba było je widzieć, te tłumy czerwone. Z lewej strony ołtarza 400 chorągwi. Nabożeństwo odprawił arcybiskup Teodorowicz, który potem odczytał publicznie telegramy z błogosławieństwem dla Sokolstwa od Ojca Świętego i prymasa Hlonda (z Rzymu). Prezes Sokolstwa, Adam Zamoyski wzniósł okrzyk na cześć Rzplitej, a pole rozgłośnie go powtarzało. Potem pochód. Oto jak go opisują świadkowie:

„Poprzez Wielkie Garbary i ul. Wielką dotarło czoło pochodu przed ratusz poznański. Już na długo przedtem wzdłuż szlaku pochodu stał zwarty tłum publiczności; w oknach i na balkonach domów widniały wszędzie roześmiane, radosne twarze.

Około godz. 12.20 ukazało się u wylotu ul. Wielkiej czoło pochodu, który ciągnął się barwną wstęgą, pełen życia i brawury, wśród powszechnego entuzjazmu przez 1 godz. 45 minut. Pochód otwierał hufiec kolarzy, liczący około 400 ludzi, na efektownie udekorowanych rowerach... Po kolarzach szła orkiestra wojskowa, za którą podążało przewodnictwo Związku z prezesem hr. Zamoyskim oraz naczelnikiem Fazanowiczem w towarzystwie gości zagranicznych na czele; w asyście była drużyna honorowa ze sztandarem. Wszyscy ustawili się obok pomnika Prozerpiny, by odebrać defiladę.

Rozpoczynali ją goście zagraniczni, przyczem jako pierwsi kroczyli ze sztandarem synowie Albjonu, ubrani w białe spodnie, granatowe marynarki i słomkowe kapelusze z wyhaftowanemi na wstążkach godłami Anglji. Po ich przejściu odłączył się od reprezentacji sztandar, ustawiając się obok przyjmujących defiladę; w podobny sposób również postępowali następni chorążowie. Za Anglikami podążali przedstawiciele Belgji i Finlandji. Burzą oklasków powitano reprezentację francuską ze sztandarem, ubraną w trykoty gimnastyczne oraz berety baskijskie, dziarsko maszerującą. Za Francuzami podążali z 2 sztandarami i deputowanym Gorinim na czele gimnastycy włoscy, niemniej serdecznie witani. Kolejno kroczyli wśród istnej burzy oklasków i wiwatów Serbo-Łużyczanie w swoich barwnych strojach narodowych. Za nimi podążali ze słynną orkiestrą doboszów w białych ubiorach oraz 4 sztandarami również entuzjastycznie witani Sokoli polscy w Ameryce; wielkie poruszenie wywołały popisy doboszów, którzy w pochodzie, nie przestając ani na chwilę grać, zmieniali precezyjnie co chwila szyk, wysuwając ku zdumieniu wszystkich raz na czoło piszczałki, potem znów trąbki oraz bębny i t. d. Za rodakami z za Oceanu podążali Sokoli polscy z Czechosłowacji z 4 sztandarami; — dalej Sokoli z Francji, Niemiec, ze Śląska opolskiego i Rumunji. Wszystkim publiczność sprawiła faktycznie żywiołową, długotrwałą owację wzdłuż całego szlaku.

Po przejściu Polaków z obczyzny ukazali się w niemniej karnym szyku Sokoli z państw słowiańskich. Na czele kroczyła orkiestra czeska, a za nią w pokaźniej ilości około tysiąca osób Czesi i Czeszki z 2 sztandarami oraz wiceprezesem Stepankiem na czele; zwracały specjalnie uwagę efektowne ubiory druhen, kremowe z barwnemi obramowaniami. Wiwaty podwoiły się bodaj, bowiem odpowiadali na nie maszerujący radosnemi okrzykami powitalnemi. Tak samo żywiołowo reagowali na entuzjam naszej publiczności Jugosłowianie, których prowadził prezes dr. Gangl w asyscie sztandaru; ogólny zachwyt i huczne oklaski wywoływały faktycznie śliczne ubiory sokolic, bogato haftowane we wzorzyste desenie. Korowód gości zagranicznych zamykali Rosjanie z emigracji, z prez. Wergunem na czele.

Tuż za nimi ukazuje się u wylotu ul. Wielkiej istny las sztandarów. Płynęły one majestatycznie a powoli, zlekka łopocąc na wietrze i mieniąc się w słońcu bogactwem haftów, efektownych złoceń oraz barwną gamą kolorów. Płynie i płynie ten jedyny w swoim rodzaju pochód sztandarowy, w którym brało udział około 325 sokolich znaków. Za nimi rozpoczyna się defilada poszególnych dzielnic.

Otwiera ją z prez. Rowińskim na czele Dzielnica Krakowska, wśród której zwartych szeregów żywiołowe zwłaszcza brawa pozyskali górale z Zakopanego w swych barwnych strojach. Dalej kroczyła oklaskiwana gorąco dzielnica Małopolska pod przewodem wiceprez. Małaczyńskiego. Następnie dzielnica Mazowiecka, prowadzona przez prez. Korewę; tutaj wyróżnili się Sokoli z Kozłówki majętności hr. Zamoyskiego, z kosami ustawionemi na sztorc. Niemniej żywiołowo przyjmowano dzielnicę Pomorską z prez. Samolińskim na czele, a za nią Śląską pod wodzą prez. Dreyzy, przyczem zachwycano się tu oryginalnemi strojami. Na końcu postępowała wreszcie najpotężniejsza liczebnie dzielnica Wielkopolska z prez. Wolskim i pierwszym naczelnikiem inż. Maćkowiakiem na czele. Naczelnik Suligowski, jako gospodarz, szedł na froncie pochodu jeszcze przed kolarzami.

Po hufcach męskich następowały w tej samej kolejności dzielnic—Sokolice. Na czele kroczyła przewodnicząca Związkowego Wydziału p. Marja Holder-Eggerowa oraz naczelniczka związkowa hr. Jadwiga Zamoyska.

Po Sokolicach szli Sokoli nieumundurowani, za którymi podążał hufiec konny w sile 300 ludzi, a wśród nich znajdował się specjalny pluton czeski. Barwne stroje kawalerzystów-Sokołów znalazły poklask publiczności.

Całość pochodu wywarła wrażenie więcej niż imponujące. Przewijający się druhowie wszystkich dzielnic i szeregu państw obcych, dały publiczności możność stwierdzenia siły, tkwiącej w Sokole".

Podaliśmy ten opis za „Kurjerem Poznańskim" jako ilustrację. Nie możemy w tem miejscu opisywać ćwiczeń. Niesłychane wrażenie zrobiło na 50 tys. publiczności widowisko urządzone przez Sokołów „Zaślubiny Wisły z morzem" według scenarjusza p. Jadwigi Zamoyskiej. Skończyło się po północy. Megafon, przez który rozlegała się deklamacja wiersza Deotymy, objaśniał obraz z żywych ludzkich fal układany. Wielki fajerwerk zaimponował.

Wielkie znaczenie będzie miał ten zlot dla rozwoju idei Sokolstwa. Pobieżna obserwacja dała poznać, że wbrew dawnym stosunkom w sokolstwie galicyjskiem, obecnie 75% Sokołów należy do pokolenia młodego.

Powinny się ukazać książkowe publikacje, któreby zdarzenia poznańskie tych dni spopularyzowały.

KONGRES STRONNICTWA NARODOWEGO

KONGRES Stronnictwa Narodowego odbył się w Poznaniu w dniu 29 czerwca w atmosferze wielkiego podniesienia ducha politycznego. Złożyły się na tę atmosferę: nastrój ogniska wielkopolskiego, w którem tętni dziś puls życia narodowego, odbyta w przeddzień wielka uroczystość Traktatu Wersalskiego, manifestacyjny zjazd Sokolstwa, a przedewszystkiem ogólna reakcja na załamania psychiczne, jakich doznało życie publiczne. Stronnictwo Narodowe daje wyraz organizowany samopoczucia narodu, który się ocknął i poczuł w sobie siłę. Przyczyniła się do tego w wielkim stopniu wystawa poznańska, będąca demonstracją sił twórczych narodu.

Na kongres przybyło ze wszystkich stron kraju około 3.000 delegatów. Imponujący był widok, gdy uczestnicy kroczyli przez miasto z kościoła do sali obrad ze sztandarem, grupami okręgowemi.

W sali obrad jako symbol na estradzie wizerunek Bolesława Chrobrego. Delegacja składa wieniec u stóp posągu tego króla w katedrze. Pieśń „Bogu Rodzica" na organach daje ton obradom, które się zaczną. Obecny jest Roman Dmowski, witany owacyjnie. Przewodniczy prezes Joachim Bartoszewicz, który otwiera posiedzenie silną mową, kładącą nacisk na ideę praworządności, którą Polsce trzeba przywrócić.

Następuje cały szereg doskonałych referatów. Pierwszy mówi senator Seyda o polityce zagranicznej, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków polsko-niemieckich, potem poseł ks. Marceli Nowakowski o stosunku pracy narodowej do religji i Kościoła, poseł prof. Bohdan Winiarski — o reformie ustroju, prezes Klubu Narodowego, prof. Roman Rybarski o polityce gospodarczej, poseł ks. Czetwertyński o polityce w zakresie rolnictwa, p. Szebekówna o roli kobiet, poseł Milik o położeniu gospodarki włościańskiej, poseł Miklaszewski o roli mieszczaństwa, poseł Wojciech Trąmpczyński — o praworządności.

Zebranie zakończyło się uchwaleniem wniosków w formie deklaracji:

DEKLARACJA

„Walny Zjazd Ogólnopolski Stronnictwa Narodowego, zebrany w dniu 30 czerwca 1929 roku w Poznaniu, w dziesiątą rocznicę utrwalenia w Traktacie Wersalskim odzyskanej Niepodległości Zjednoczonej Polski, stwierdza, że wielki wysiłek narodu polskiego wzmocnił niewątpliwie w ciągu tych lat dziesięciu podstawy państwa, lecz bardzo poważne zadania wewnętrzne i groźne niebezpieczeństwa zewnętrzne wymagają skupienia i napięcia wszystkich twórczych sił społeczeństwa oraz rządu, stawiających wysoko godność narodu i odpowiedzialność za jego losy.

Życie i ustrój Polski oparte być muszą na zespoleniu z Kościołem Katolickim, z którym się zrosła nasza cywilizacja, a którego stanowisko i powaga są obecnie przedmiotem nieustannych ataków.

Ustrój państwa przebudowany być musi na zasadach jedności i spoistości narodu, na rozumnej równowadze władz, na trwałości rządów, odpowiedzialnych za swe czyny.

Na tych zasadach oparty projekt naprawy głównych niedomagań obecnego ustroju przedstawiło Stronnictwo Narodowe krajowi i sejmowi. Natomiast projekt zmiany konstytucji, zgłoszony przez partję rządową, prowadzi do słabości i wewnętrznego rozstroju, do rozrzutności grosza publicznego i do nadużyć, nieuniknionych przy braku nadzoru, do krwawej walki domowej, do zgubnego powrotu do wyborów głowy państwa przez ogół ludności i do dopuszczenia wpływów obcych. Niemniej niebezpieczny, a grożący przedewszystkiem rozbiciem całości naszego państwa przez autonomje terytorjalne, podważeniem stanowiska Kościoła Katolickiego i utrwaleniem klasowych rządów — jest projekt zmiany konstytucji, wniesiony przez obóz lewicowy.

Musi być usunięty stan bezprawia, który rodzi nieprawość i brak zaufania we wszystkich dziedzinach życia na wewnątrz i na zewnątrz.

Trudności gospodarczych, tak dotkliwie obecnie odczuwanych, niepodobna usunąć przez doraźne posunięcia, czynione w obliczu kryzysu ekonomicznego. Aby złu zaradzić, trzeba zerwać z obecnie uprawianym systemem socjalizmu państwowego, z wszelkiemi jego przewrotowemi skutkami. Należy poddać gruntownej reformie, a w razie potrzeby zwinąć szereg przedsiębiorstw państwowych, których nadmierny rozrost, nieudolność prowadzenia podcina siłę płatniczą społeczeństwa i sprzyja coraz częstszemu pojawianiu się nadużyć. Wytwórczość kraju musi być zwiększona, a rolnictwo, od którego w znacznej mierze w kraju wybitnie rolniczym zależy rozwój przemysłu, rzemiosła i handlu, — winno być otoczone szczególną opieką.

Zapewnić należy poszanowanie własności prywatnej, bez czego bezsilna jest twórcza gospodarka jednostki i niemożliwe gromadzente drogą oszczędności rodzimego, polskiego kapitału.

Wzmożenie w ten sposób ustrojowo i gospodarczo siły państwa jest szczególnie ważne w chwili, kiedy grożą nam zakusy wrogów, dążących sposobami często ukrytemi do podboju ekonomicznego Polski, a nawet już jawnie—do okrojenia całości obszaru.

Polska, gospodarczo zorganizowana, narodowo spoista, należycie rządzona i posiadająca silną armję w służbie narodu—będzie miała dość siły, by nie dopuścić do mieszania się obcych czynników w jej sprawy wewnętrzne i odeprzeć zamachy nad traktatami ustalone i krwią jej synów przypieczętowane granice.

Niema siły państwa bez świadomego swych praw i obowiązków obywatelskich narodu. Rozstrojenie społeczeństwa, poniżenie godności narodu, podważa sam byt państwa. Ciężkie zadania obecne spełni tylko społeczeństwo, idące do pracy i walki w zorganizowanych szeregach narodowych, z odwagą i wiarą w zwycięstwo".

NAUKA I LITERAUTRA

Z DAWNEJ LITERATURY FRANCUSKIEJ

„PRZYGODY kawalera de Faublas", które napisał Louvet de Covray, a dopisami i przedmową opatrzył tłumacz Czesław Jankowski, wydane przez wydawnictwo „Maska", (skład główny w księgarni F. Hoesicka), są artystycznym i wiernym dokumentem francuskiej epoki stylu *rococo.* Pamiętnik to zabawy, figlów, pustoty, zalotów i bałamuctw. Wprawdzie te przygody nie są autentycznemi wspomnieniami ich bohatera, ale na kanwie pamiętników współczesnych furfantów i lekkoduchów zgrabnie skleconych romansem, jednak obojętną jest rzeczą, czy istotnie ten miły fircyk i rycerz buduarów sam, własnoręcznie, spisał dzieje swych młodych lat. Może lepiej nawet, że go, fikcyjną postać, zastąpił w tem literat, względnie na wzór jego domniemanych wspomnień ten niby-pamiętnik skomponował, zaś wzorów na dworze króla i w salonach wielkich panów miał wówczas poddostatkiem. Pełno ich było, wartogłowów, takich i im podobnych, w życiu i jak w czarodziejskim zwierciadle, w wystawianych wtedy komedjach hiszpańskich i komedjach Moljera.

A nie tylko on sam, kawaler de Faublas, jest typową postacią swego czasu. Cały otaczający go świat, ukazany na wesoło, odzwierciadla czar, piękno i beztroskliwość górnych, władczych sfer tego wieku i jego ginącego świata. Książka, poza swą stroną obyczajową, jest interesującem dziełem sztuki. Nieprawdopodobieństwa zdarzeń, poparte prawdziwą psychologją, przemykają szybko, a czytelnik, wierząc nie wierząc, ulega ponętnej lekkości formy i błyskotliwości dowcipu. To też powodzenie książki było powszechne w całym świecie cywilizowanym, gdzie tylko czytano książki francuskie. A pełno ich było w każdym pałacu w Polsce, w każdym dworze.

Dr. Stanisław Morawski, autor wydanej przed kilku laty przez Bibljotekę Polską książki „Kilka lat młodości mojej w Wilnie" (1818—1825), tak opisuje swe wrażenia z tej lektury:

„Faublas'a edycja była przepyszna. Skusiły mnie jego ryciny... Czytało się go z wielką ciekawością. Wdzięk stylu i komizm wielu sytuacyj, niech sobie, co chcą, o tem mówią hipokryci i mędrkowie nasi, nie interesować w Faublasie nie może... Obraz salonowego obejścia się, pokojowego paplotania, intryg i kobieciarstwa, do jeszcze w pierwszą część XIX w. doszłego i u nas nawet praktykowanego, tak jest prawdziwy, że ten z ludzi mojego czasu jest hipokrytą, kto, przeczytawszy Faublsa, ze mną się nie godzi".

Karty przygód kawalera de Faublas stanowią oryginalny kontrast do wszystkich pamiętników polskich. Bawiono się tak i u nas, bez pamięci, w czasach saskich i za Stanisława Augusta. „Była to maskarada, zapustna swawola". Strojna, wykwintna w literaturze i sztuce, niby nowy wiek złoty, era Krasickiego, Trembeckiego, Węgierskiego. Era pierwszego świtu malarstwa, rzeźby, włoskich ogrodów i wymyślnych kawalkad, redut, pojazdów i potraw. Jednak w tym szale zabawy, jak gdyby z umysłu, nie zapisano niczego. Opis obyczajów pozostawiony przez księdza Kitowicza i pamiętniki Matuszewicza, na razie chyba wszystko, z tem, że Matuszewicz, pienacz i obskurant, jest typem ciemnej warstwy ówczesnego fermentu. Inne, później tragiczne, pamiętniki wojskowych, polityków i wygnańców ilustrują udręczenia i klęski niewoli. Może jedynie Pamiętniki Duklana Ochockiego mogłyby anegdotami awanturek miłosnych, karcianych i pojedynkowych, rywalizować z opisem przygód kawalera de Faublas, o ile opracowane i wydane przez J. I. Kraszewskiego nie są, przynajmniej w znacznej mierze, żartobliwym, udanym falsyfikatem jego nieporównanie bujnej wyobraźni.

Przekład francuskiego dzieła dokonany przez Czesława Jankowskiego wzorowy, piękny. Komentarze staranne i trafne.

ANTONI WYSOCKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Pięknego wydawnictwa akademickiego *„Alma Mater Vilnensis"* wyszedł zeszyt 7-y (str. 80 *in quarto).* Z szeregu artykułów, mających pewną wartość naukową, wyróżnają się: Bibljografja Mickiewiczowska w czasopismach wileńskich z l. 1918—28— przez p. L. Sienkiewicza, Książka jako dzieło sztuki — przez p. G. Achremowicza, Prace anatomiczne Leonarda da Vinci, przez p. J. Kruszyńskiego, oraz wiersz *Homo Novus* przez p. Z. Falkowskiego. Obfity dział sprawozdań z życia akademickiego objektywnie informuje czytelnika o pracy społecznej, towarzyskiej i naukowej młodzieży Wszechnicy Batorowej. Szata zewnętrzna wydawnictwa — bez zarzutu.

*

Staraniem *„Les amis de la Pologne"* wyszły fragmenty „Dziadów" w przekładzie p. Ostrowskiego. W komentarzu do widzenia X. Piotra, przy enigmatycznych „44", czytamy, iż symbol ten, niewyjaśniony dotąd dostatecznie, „niektórzy tłumaczą jako przepowiednię... Piłsudskiego" (*„D'aucuns y ont vu annoncé Piłsudski"*). Szkoda, że autor tej notatki nie był dość ścisły i nie wspomniał jeszcze o równie przekonywających tłumaczeniach, jak np. o Mikołaju Mikołajewiczu, o Wilsonie, lub też zgoła o południku 44-ym, jako granicy frontu niemiecko-rosyjskiego w l. 1915 — 17. Czytelnik byłby przynajmniej wszechstronnie zorjentowany i miałby z czego wybierać.

KONFISKATA

Nr. 28 „Myśli Narodowej“ został skonfiskowany przez Komisarza rządu m. Warszawy za artykuł **Adolfa Nowaczyńskiego „Antiwersal”** w rubryce „Ofensywa“. Artykuł nawoływał do podniesienia poziomu obyczajności w przemówieniach publicznych.

NA MARGINESIE

W dziesiątą rocznicę Kongresu Wersalskiego masonerja zajęła uwagę i serca naszych defetystów ekshumacją zwłok Bema na Węgrzech i kongresem „penklubów“ w Wiedniu. Do Wiednia pojechali znowu reprezentować polską literaturę pp. Kaden-Bandrowski i Emil Breiter. Oficjalny „Głos Prawdy” zamieszcza całe fejletony Breitera o wspaniałych (aj - waj) przyjęciach, (na stopę monarszą) literatów z 25 państw — przeważnie żydów. O rocznicy traktatu wersalskiego oczywiście „Głos Prawdy” nie wspomina.

•

Jak należy być ostrożnym z wypowiadaniem opinij literackich, i z jaką odwrotnie ostrożnością należy te sądy traktować, pouczy nas następujący fakt, który zaszedł w jednem z naszych miast prowincjonalnych, mających zresztą własną stację nadawczą Radja. Oto kierownik literacki tej stacji, w prelekcji swej, nadawanej przez radjo, w górnych słowach wychwalił „Lenorę“ Kadena Bandrowskiego, jako apoteozę... pracy i współczesności. Następnego dnia siostra — zakonnica, dyrektorka szkoły żeńskiej, na podstawie owej recencji, gorąco poleciła „Lenorę“ swym pupilkom, uczenicom klasy VII! Aczkolwiek niebawem nauczycielka — polonistka niemniej gorąco książkę tę zdyskwalifikowała jako nieodpowiednią lekturę dla 17-o letnich dziewcząt, to jednakże, ktokolwiek zna psychologję młodzieży, ten chyba nie wątpi, iż bardzo znaczny zastęp czytelniczek znalazła „Lenora“ śród uczenic tej szkoły zakonnej!

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45, Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM